Nr. 44. Warszawa, dnia 18 (30) Października 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

*Ponieważ znajdująca się w Warszawie część nakładu dzieła Chmielowskiego: „**Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego**“ została rozsprzedana, więc żądającym tej książki możemy ją dostarczyć dopiero po przybyciu transportu z Krakowa, t. j. za tydzień.*

POLITYKA.

NAD PRZEPAŚCIĄ.

Przedlitawska Rada państwa ukończyła obrady nad drugiem z rzędu oskarżeniem, jednem z siedmiu, któremi Niemcy obrzucili pierwszego ministra. Oskarżenie odrzucono podobnie, jak poprzednie; taki sam będzie i koniec pięciu pozostałych jeszcze do roztrząsania. Niemcy przez głosowanie imienne przewlekają rozprawy z jednym tylko skutkiem, tym, iż sprawa kardynalna, ważna i nagła, — ugoda tymczasowa z Węgrami, nie może w żaden sposób przyjść pod uchwałę. Czas upływa, siła drętwieje, konstytucya chwiać się zaczyna, powaga całej monarchii cierpi, samym warchołom nic nie przybywa do ich politycznego dobrobytu; ale taktyka uliczników po dawnemu kwitnie i w przyzwoitszych już teraz formach z większą przecież niż poprzednio stanowczością krzywdzi państwo, tamuje jego funkcye, mąci stosunki, organizacyę samą, porządek i układ wewnętrzny monarchii rozburza. Nigdy jeszcze od 26 lutego 1861 r., od konstytucyi szmerlingowskiej, pierwszego wcielenia myśli i woli nowej, pragnącej odrodzić Austryę — nie było chwili tak poważnej, tak głęboko sięgającej dramatyzmem swoim w życie dziejowe monarchii Habsburskiej.

Dramatycznej tej powagi położenia obecnego nie pojmuje ta tłuszcza ludzi oświeconych, wykształconych, wybrańców ludu, wyszłych z łona narodu niemieckiego — który przecież kroczy na czele kultury, jeśli już nie sam wyłącznie, to w towarzystwie dopuszczanych miłościwie do równości sił i zasług Francuzów i Anglików. Ta pycha właśnie wespół z inną, sączącą się z dawniejszych dziejów Austryi, ciemięztwem niemieckiem pokalanych, na rozporządzenia kwietniowe i majowe p. Badeniego o języku czeskim w urzędach, wydane tylko dla urzędników i nie odrazu nawet wprowadzone w życie, nakazała Niemcom austryackim patrzeć jak na wielkie niebezpieczeństwo, grożące żywiołowi niemieckiemu. Jak gdyby w stanie koniecznej obrony chwycili się oni środków wykraczających już po za obręb rzeczywistego prawa we wszelkiem życiu konstytucyjnem, po za obręb samego rozsądku i prawideł obyczajności. Gdyby żywioły inne, nie-niemieckie, tworzyły jednorodniejszą masę, gdyby miały wspólny, niewzruszony środek ciężkości politycznej i gdyby ich z ciążenia do tego środka nie wytrącały przeciwieństwa między stronnictwami wsteczno zachowawczemi a postępowemi — obecne wysypanie się na wierzch tej ospy pychy niemieckiej byłoby wypadkiem nawet pożądanym: możnaby odrazu skończyć z gniotącą przewagą i raz na zawsze ująć wyższość uroszczeń, przywilej i monopol w karby równouprawnienia. Pycha niemiecka doprowadziłaby ostatecznie Przedlitawię do układu federalistycznego, który przy silnej władzy centralnej nie groziłby jej rozpawnięciem się, a zapewniałby spokój wewnętrzny.

W braku niezbędnych warunków, przy niemożności zgodnego postępowania do pewnego punktu wytkniętego przez ideę współistnienia — paroksyzm pychy niemieckiej staje się dla monarchii nieszczęściem. Bezwład państwa, zatamowanie działalności wspólnej, Przedlitawię i Węgry ogarniającej organizacyi, wreszcie podkopanie konstytucyonalizmu przedlitawskiego: takie są już dotychczas owoce taktyki z uporem przeprowadzanej przez Niemców. Prezes ministrów węgierskich, Banffy, d. 25 b. m. zapowiedział już podjęcie przez Węgry na własną odpowiedzialność tych funkcyj, które normalnie przypadają obu połowom monarchii. Jeśli się zapowiedź urzeczywistni, państwo dualistyczne istnieć przestanie i Węgry wrócą do dawniejszego swego stosunku, ustalonego przez sankcyę pragmatyczną 1724 r. Potrzeby wspólne nie mogą nie być zaspokojone dlatego, że stu kilkudziesięciu opętańcom podoba się je lekceważyć; inicyatywa węgierska musi wywołać inicyatywę przedlitawską, a jeśli ta konstytucyjnie przy współdziałaniu sejmu wyłonić się nie zdoła, będzie się musiała wyłonić bez tego współdziałania, czyli z samej Korony. Wstrząśniony dualizm pociągnie za sobą i zachwianą konstytucyę: najważniejsza czynność przedlitawska: przyznanie środków niezbędnych do życia mocarstwu austro-węgierskiemu, dokona się bez udziału organu konstytucyjnego, bez sejmu. Do tego pędzi wóz Dżagarnata.

Jeżeli go nic nie powstrzyma, czyn cesarza będzie tylko bezprawnym, obywającym się bez prawa, ale nie będzie prawa pogwałceniem, gdyż przedlitawski Reichsgesetz z 21 grudnia 1867 r. nie przewiduje wcale nieuchwalenia przez sejm środków na potrzeby wspólne. Ale i taką bezprawność odwrócić i od dzisiejszego panującego i od samego konstytucyonalizmu potrzeba wszelkimi środkami, jakie daje konstytucya i dotychczasowa konstytucyjna praktyka rządu. Kto wie, czy lada chwila nie wybije już dla p. Badeniego ponura godzina północy; czy się nie spóźnił z uży-

ciem środka, jedynego może, jaki mu pozostaje w przypuszczeniu, iż sam już nie przewiduje on końca ulicznikowstwa niemieckiego? Środkiem tym jest rozwiązanie Izby. Gdyby nawet w nowym składzie powtórzyć ona miała zdrożności dzisiejszej, samo odwołanie się rządu do ludu będzie miało znaczenie ostrzeżenia o jednostronnym akcie Korony i nada mu silniejszą podstawę w umysłach. Wtedy dopiero wystąpi już nieprzeparte zagadnienie: co będzie z Austryą, jej wewnętrznem życiem i organizacyą? Wtedy może dojrzeje myśl, że trzeba przedewszystkiem znieść niemiecki centralizm, zaprowadzony w r. 1873, i powrócić do ułożenia Izby deputowanych grupami narodowemi. Federalizm stanie wtedy u progu, dopomni się wpuszczenia do wnętrza i wejdzie do konstytucyi. Ciężkim błędem byłoby zażegnywanie niebezpieczeństwa obecnego przez zadośćuczynienie woli Niemców: upadłby p. Badeni — nie byłoby to nieszczęściem—ale upadłaby Przedlitawia Niemcom pod nogi, i tu już zaczęłoby się coś bardzo niebezpiecznego dla Austryi.

Tydzień polityczny. W Niemczech przesilenie kanclerskie pod pokrywką wyjazdu dla wytchnienia czy interesów pilnych, wrze z siłą, której utaić nie zdołają półurzędowi okłamywacze. Już teraz jawnie przyznać oni muszą, że Prusy w Radzie związkowej przeciwne są jawności sądów wojskowych, istniejącej w Bawaryi; ale dobrą sprawę Prus popierają dobrą sprawa Saksonii, która również na jawność się jeży. Wątpić już nie można, że cesarz Wilhelm, oparłszy się o wyższych oficerów, będących wcieleniem ducha kastowości, nie chce reformy — a gdy on nie chce, kanclerz nie ma już co robić w rządzie: słowo, dane w r. z., przygniotłoby go kamieniem, którego nie odwaliłby nawet taki olbrzym, jak cesarz Wilhelm. Najważniejszą po przesileniu jest sprawa żywiołu polskiego. Ks. Bismarck w *Leipziger Neueste Nachrichten* obudza czujność Niemców upomnieniem: po socyalistach niema większych „Reichsfeindów,“ zatem czuwajcie! Słowo gieniusza bezczynnego trafia na dobrą wolę gieniusza czynnego. Przewidywać można wniesienie na sejm pruski nowych środków ucisku.

We Francyi p. Waldeck-Rousseau, kandydat na prezydenta, wyśpiewał mowę pochwalną dla rządu p. Méline'a, poręczającego rzeczpospolitę zachowawczą—jedyną, która zapewnia zbawienie Stronnictwom skrajnym trzeba tamę położyć przez wytrwałe rozsądne rządy. P. Cochery w Izbie, która zebrała się d. 19 b. m. po wczasach letnich, przedstawił projekt opodatkowania walorów, tj. papierów wartościowych zagranicznych: ma to być jeden ze środków, zapewniających równomierny rozkład ciężarów państwowych. Tymczasem tym, co żadnych zgoła walorów nie mają, zaczyna braknąć chleba. W bogatej Francyi musiano wnieść interpelacyę o cenę chleba. Na Madagaskarze naród podbity burzyć się zaczyna przeciw Francuzom. Nie pomogły okrucieństwa gen. Gallianiego.

W Serbii stanął gabinet Dżordżewicza. Upadek Simicza wyjaśniają ośmieszeniem się jego wobec Francyi przy zakupie broni bez wiedzy króla. Simicz liczył na kredyt francuski, którego nikt dawać mu nie myślał.

W Hiszpanii karliści ruszają się na północy a dzisiejszy Don Carlos proponuje gen. Weylerowi dowództwo. Gen. Blanco otrzymał instrukcyę, aby Kubę przygotował na autonomię „bardzo rozległą.“ Czterdzieści tysięcy żołnierzy leży w szpitalach i ambulansach; trzydzieści tysięcy nowych ma odpłynąć. Gen. Woodfordowi odpowiedział rząd hiszpański, że rokosz uśmierzy jak najprędzej, ale musi jej dopomódz do tego rząd Stanów Zjednoczonych przez niepozwalanie na wyprawy flibustyerskie.

Podpisanie pokoju grecko-tureckiego już niedaleki. Punkta sporne ujęte będą w osobne konwencye. Kreta ma otrzymać gubernatora w osobie pułkownika Schaeffera z Luksenburga. Dyplomacya zaczyna znowu zajmować się przyszłą autonomią.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZPITALE.

II.

Rolę pierwszorzędną w organizacyi szpitalnej gra pomoc lekarska, a z nią ściśle związana liczba lekarzy i wynagrodzenie ich pracy. Zobaczmy, jaki u nas jest stan rzeczy pod tym względem. Przedewszystkiem w stosunku do ogromu zadań, lekarzy jest zbyt mało: tylko 34 wraz z naczelnymi i miejscowymi (według sprawozdania Rady z r. 1894). Na każdego z nich rocznie wypada 17,913 chorych, a 49 dziennie! „Przypuśćmy — pisze dr. B. W. J. — że to są sami chorzy wewnętrznie, że nie wymagają opatrunków, operacyj i wogóle żadnych więcej skomplikowanych zabiegów; że trzeba tylko dowiedzieć się od chorego o jego dolegliwościach obecnych itd., zbadać go, często jego wydzieliny, zapisać to wszystko do „arkusza szpitalnego“ lub książki; i to tak postępując o tyle, o ile sumiennie — mniej niż 10 minut na chorego lekarz poświęcić nie może, a to, licząc 49 chorych, stanowiłoby 8 godzin pracy. A gdzie operacye większe, opatrunki, szczegółowsze badania chorych?“

Dlaczego jednak — zapytuje autor — lekarze nie siedzą po 8 godzin w szpitalach, chociaż większość zajmuje się chorymi sumiennie? — Dlatego, że lekarzy w szpitalach jest znacznie więcej; ale Rada miejska nie wykazuje ich w sprawozdaniu, bo im ani grosza nie płaci. W liczbie 34 lekarzy płatnych jest 8 naczelnych, 10 t. zw. miejscowych i 16 ordynatorów. Naczelni biorą: trzech od 1,000 do 1,600 rs. (Dz. Jez.), pięciu od 300 do 600. Ordynatorowie: jeden 1,000, 2 po 450 i jeden 400 rs., reszta po 300, a jeden nawet 200. Miejscowi od 300 (jeżeli dostają pożywienie) do 450 (bez pożywienia). W ogólnej sumie 385,157 rs., wydanych na szpitale, pensya lekarzy wynosi 16,850 rs., kwota uderzająco skromna, zwłaszcza przy innej rubryce p. t. „rozmaite wydatki,“ które wynoszą 39,397 rs. „Te rozmaite wydatki — woła autor — nie zaliczone ani do żywienia chorych, ani do lekarstw, ani do bielizny, ubrania, pensyi lekarzy i urzędników, utrzymania służby, naprawy budynków i rzeczy, ani do wydatków nawet „czasowych,“ jednem słowem te wydatki, których nawet wymieniać nie warto, wynoszą 39,397 rs., a pensye lekarzy zaledwie 16,850 rs.!

Jeżeli weźmiemy pod uwagę z wielkim nakładem zdobyte wykształcenie lekarza

---

25)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Więzienie.

„Dzień“ więzienny zaczyna się wieczorem, gdy się odbywa „przyrządzanie“ i rozdawanie robót. Tak właśnie zaczniemy „dzień w więzieniu.“

Kancelarya więzienna podobna do zwyczajnego cyrkułu. Ciemnawo i brudno.

Pisarze-katorżnicy skrzypią piórami, piszą, przepisują niezliczone papiery sachalińskie, raporty, oświadczenia, uwiadomienia, akta, odpisy, spisy.

Gdy się wchodzi, dozorcy wszyscy wstają i kłaniają się.

Starszy z nich podaje inspektorowi gotowy już na jutro rozkład robót dla więźniów.

— Do wyładowania parowca tylu. Do robót ciesielskich — tylu. Do noszenia drzewa... Do warsztatów... Oto p. X. prosił, ażeby mu ludzi przysłać do skopania ogrodu.

— Ludzi niema, wielmożny panie — wszyscy zajęci.

— Nic nie szkodzi. Poślij sześciu. Wykazać ich przy robotach ciesielskich. Ale, ale! Pani Y. jeszcze prosiła o dwu ludzi. Odmówić nie można. A ta kontrola teraz we wszystko wgląda. Musimy jej przedstawiać wykaz ludzi. Poprostu rozerwać się trzeba! No, tak, pięknie! Poślij jej dwu ludzi z tych, którzy są przeznaczeni do wyładowywania statku. .

„Rozporządzenie“ skończone.

Zaczyna się przyjęcie dozorców.

— Ty co powiesz?

— Iwanow, wielmożny panie, mówi grubiaństwa. Ja mu słowo, on dziesięć. Łaje, łży!

— Do karceru! Na trzy dni o chlebie i wodzie. A ty?

— Piotrow znowu się awanturuje.

— Do karceru! Wszyscy?

— Tak, wszyscy.

— Wezwać robotników.

Wchodzi tłum skazańców, kłania się, staje przy drzwiach. Jeden w kajdanach.

— Tyś po co?

— Pod śledztwem. Wyrok, czy coś ogłaszać mają.

— A! ruszaj do pisarza. Wasiljew, przeczytaj mu wyrok.

Pisarz wstaje i prędko czyta, raczej mruczy, wyrok.

— Nadamurski sąd obwodowy... Biorąc pod uwagę... samowolne oddalenie się... przedłuża termin... na dziesięć lat!.. Piśmienny?

— Tak, piśmienny.

— Podpisz się.

Człowiek, okuty w kajdany, z taką samą obojętnością, z jaką wysłuchał wyroku, stwierdza swoim podpisem, że mu dodano dziesięć lat katorgi.

Jak gdyby to nie chodziło o niego.

— Czy można odejść? — ponuro zapytuje.

— Możesz. Idź!

— Znowu ucieknie, szelma! — dorzuca dozorca.

* * *

Według „prawideł“ katorgi, „porządny“ skazaniec musi wysłuchać wyroku spokojnie, obojętnie, jak gdyby to nie o niego chodziło. Nie powinien ujawnić najmniejszego wzruszenia. To się uważa za „dobry ton.“ W razie wyjątkowo ciężkiego wyroku, katorga pozwala zwymyślać sąd. Ale każde słowo żalu wywołałoby pogardę katorgi. Oto jest źródło tej obojętności na wyroki. W gruncie rzeczy te przedłużenia terminu za „oddalenie się“ wielce ich wzburzają i męczą; uważają

i jego pracę natężoną, łatwo przyjdziemy do przekonania, że lekarz szpitalny stosunkowo nie lepiej jest wynagradzany, niż najlichszy urzędnik. Oprócz obowiązków nad siły, nieraz lekarzy tych obarczają zarzuty pośpiechu i niesumienności. Czyż podobna wymagać, ażeby ten, co pobiera 300 rs. rocznie, a ze składką emerytalną tylko 270, mógł się poświęcić całkowicie szpitalowi? Dodajmy, że wielu lekarzy, niewciągniętych do listy sprawozdania, poświęca swój czas i siły zupełnie bezpłatnie. Są oni na warunkach praktykantów lub terminatorów, z tą różnicą, że ich praca ma donosłość społeczną i obarcza pracowników wielką odpowiedzialnością moralną. Jest to wyzysk zbyt wielki i bezwzględny, ażeby o nim można było zamilczeć. Wyzysk, który, niestety, nietylko u nas się praktykuje. Oto jak dosadnie scharakteryzował ten stan rzeczy p. Cardenus w *Nowostiach*: „Czy nie chcecie zajrzeć do sal szpitalnych w czasie wizytowania chorych? Będziecie zdziwieni, widząc tam masę lekarzy; pomyślicie sobie zapewne: ile to kosztować musi utrzymanie całego tego personelu! A czy wiecie, że olbrzymia większość tych lekarzy dzień w dzień lata całe pracuje w szpitalach, dźwigając na swoich barkach cały ciężar przyjmowania chorych, dyżurowania, prowadzenia kart szpitalnych itd., nie dostając za ten cały ogrom ani złamanego szeląga? Czyście słyszeli kiedy, żeby w naszem praktycznem stuleciu ludzie poświęcali swoje siły służbie publicznej, nie otrzymując w zamian od społeczeństwa nic, oprócz szczutków i szturchańców moralnych? Dotychczas wielu jest tego przekonania, że lekarz obowiązany jest pomagać cierpiącej ludzkości, nie myśląc o wynagrodzeniu za swoją pracę. Nie chce zrozumieć, że lekarz — to uczony rzemieślnik. Nikt nie pójdzie do prawnika prosić o radę, do szewca — po buty, do nauczyciela — brać lekcye, z myślą, że nie powinien zapłacić za pracę. Tymczasem co do lekarza, wielu uważa za rzecz naturalną.“ Do kategoryi bezpłatnych należą ordynatorowie nadetatowi i asystenci. Pierwsi są zatwierdzani przez ministeryum na równi z ordynatorami etatowymi i lekarzami naczelnymi; mają własne oddziały szpitalne, muszą spełniać bardzo szerokie obowiązki. W stosunkach szpitalnych i koleżeńskich niema żadnego stopniowania między ordynatorami obu kategoryj. Ordynatorem etatowym — mówi dr. B. W. J. — może być człowiek, który nie ma żadnych zasług, ani obywatelskich, ani naukowych; i odwrotnie: ordynatorem nadetatowym może być człowiek bardzo znany w świecie naukowym, doskonały i sumienny praktyk. Do liczby nadetatowych ordynatorów warszawskich należy, jak wiadomo, kilka największych powag lekarskich. Różnica między ordynatorami etatowymi i nadetatowymi istnieje tylko na papierze, no i ta chyba, że nadetatowi nie biorą tych 270 rs. rocznie. Tworzenie posad nadetatowych jest dla Rady rzeczą bardzo dogodną, bo nietylko że one nic nie kosztują, ale czasami lekarz zamożny własnym kosztem nawet urządza dla siebie oddział. Radzie miejskiej pozostaje jedyny kłopot: przedstawienie lekarza do zatwierdzenia.“

Lekarzy takich jest dwudziestu. Pomocnikami ich są asystenci. Ilu ich wszakże jest w Warszawie, nie wiadomo, bo sprawozdanie milczy o tem. Za granicą dzieje się inaczej: są tam wyliczeni wszyscy z imienia i nazwiska, nawet wolontaryusze. U nas ci pominięci milczeniem dźwigają w skromnem ukryciu na swych barkach największą część pracy szpitalnej. Pozostają oni w cieniu, nikt ich, nawet bezwiednie, nie reklamuje, nikt nie wie o nich, bo pracują pod firmą ordynatorów. Zdarza się, że chory leży kilkanaście tygodni na sali i nie wie, jak się nazywa lekarz-asystent, który stale nim się zajmuje i faktycznie go leczy. Tak więc lekarz-asystent nie może sobie praktyki wyrobić za pośrednictwem szpitala.

Inna kategorya — „lekarze miejscowi,“ pracują nad siły. Tylko szpital Dzieciątka Jezus posiada ich trzech; inne — po jednym. Są oni i w dzień i w nocy niewolniczo przykuci do swoich obowiązków. Za to pobierają 450 rs. rocznie i mieszkanie, lub 300, jeżeli dostają pożywienie, tj. tyle, co pierwszy lepszy dyetaryusz lub subjekt z wykształceniem elementarnem. Na całodzienne żywienie mają po 31 kop. W szpitalach zagranicznych jest najmniej po 10 lekarzy miejscowych. Dostają oni oprócz mieszkania, usługi i wybornego pożywienia, po 1,200 marek lub 650—750 reńskich.

Przyjrzyjmy się teraz, chociaż pobieżnie, zasadniczym błędom administracyi. Szpitale posiadają trzy władze wewnętrzne, które wzajemnie się plączą, przeszkadzają sobie; różne zaś drobne sprawy gospodarcze opierają się aż o Radę miejską, której odpowiedź przychodzi po kilku miesiącach, a nawet wcale nie przychodzi. Spraw szpitalnych na posiedzeniach bronią kuratorowie. „Ani lekarze, ani intendenci — pisze krytyk urządzeń szpitalnych — nie mają wstępu na posiedzenia, nie mają głosu nawet doradczego. Decyzya Rady zależy od dobrych chęci kuratora szpitalnego, od jego znajomości potrzeb szpitala i szpitalnictwa, od jego energii. Często jednak wszystko to zawodzi.“ Rada miejska dobroczynności publicznej składa się z 22 osób (prezes, członkowie z urzędu, członkowie z wyborów, sekretarz Rady i kuratorowie szpitalów). W tej liczbie jest zaledwie trzech lekarzy; reszta, to ludzie, którzy nie mają pojęcia o potrzebach szpitalnych, nie znają zakładów, o których radzą i dlatego najpilniejsze potrzeby nie są uwzględniane. „Na bagatelkę jakąś — pisze dr. Nosocomialis (B. W. J.) — trzeba czekać nie tygodnie, ale miesiące, bo bez zatwierdzenia Rady zrobić nic nie można. Cóż dopiero mówić o rzeczach większych! Lekarze nie mogą wypowiadać zdań swoich bo niema w szpitalach zebrań lekarskich, na którychby się naradzano nad potrzeba-

---

oni je za bardzo surowe i niesprawiedliwe. „Za siedem dni — dziesięć lat!“ Sam widziałem katorżnika, który przed chwilą wysłuchał „spokojnie“ wyroku na 15 lat kary dodatkowej. Rozmawiając w cztery oczy, nie mógł bez łez mówić o tem: „Zgubiony jestem teraz człowiek. Cóż mi pozostaje robić? Na wieki już teraz!“ I tyle bolu było w głosie tej „kanalii,“ która „okiem nie mrugnie,“ słuchając wyroku.

* * *

— Tutaj jeszcze jest wyrok. Kto Teodor Niepomny?

— Ja! — woła chłop ślepawy.

— Czyś to się ty starał o wykrycie pochodzenia?

— Tak!

— No, słuchaj!

Pisarz znowu zaczyna wymrukiwać wyrok:

— Sąd obwodowy... Oświadczenia Teodora Niepomnego... skazanego na cztery lata za włóczęgostwo... uznać go za takiego zesłańca-osiedleńca... biorąc pod uwagę niezgodność cech... Teodor Niepomny ma oznaczone oczy niebieskie... zesłaniec-osiedleniec zaś ma szare... nos duży... postanowił uchylić... Słyszałeś? Odmówiono.

— Z nosa znaczy się nie jestem ten? — gorzko się uśmiecha Niepomny. Wychodzi teraz na to że ja — to nie ja!..

— Piśmienny?

— Tak, piśmienny. Tylko wieczorem pisać nie mogę. Mam kurzą ślepotę. Przyprowadzono mię tutaj.

— No, dobrze! Jutro podpiszesz. Ruszaj!

— A więc znowu do turmy?

— Tak!

— Ach, Boże!

Chce coś powiedzieć Niepomny, lecz się hamuje, beznadziejnie macha ręką i powoli krokiem ślepca wychodzi z tłumem skazańców.

Ani wyrok, ani wykrzyknik nikogo nie wzrusza. Na katordze „każdy myśli o sobie.“

— Wy czego chcecie? — zwraca się inspektor do tłumu skazańców.

— Termin skończyliśmy.

— Co? Na osiedlenie idziecie? No, czas, do widzenia. Życzę wam... Prowadźcie się dobrze, ażeby znowu tutaj nie wrócić.

— Pokornie dziękujemy! — kłaniają się skazańcy.

— Połowa znowu do turmy prędko się dostanie — pociesza mię inspektor.

— A ty czego chcesz?

Tłum się rozszedł. Przy stole stoi jeden człowiek.

— Termin skończyłem dzisiaj, wielmożny panie. Ale nie puszczają mię. Z siekierą...

— Zginęła siekiera skarbowa — wyjaśnia starszy dozorca.

— Przepiłeś, niegodziwcze?

— Nie. Nie piję.

— On nie pije! — jak echo powtarza dozorca.

— Skradziono mi siekierę, ot co jest.

— Któż skradł? Przecież wiesz zapewne?

Chłop skrobie się w głowę.

— Niby to ja mogę powiedzieć, kto! Sami wiecie, wielmożny panie, co czeka tego, kto wydaje.

— Oto ludzie! — z gniewem woła inspektor. Kradną u siebie nawzajem, a powiedzieć nie ważą się. Cóż, bratku, nie chcesz powiedzieć, to siedź, dopóki się nie znajdzie siekiera. Czy długi miałeś termin?

— Dziesięć lat!

— Przepraszam — wtrąca się jeden z pisarzów — ma pieniądze zarobione, niewiele, co prawda; możeby wytrącić za siekierę?

— Tak, rzeczywiście, są pieniądze — chwyta się tego wyjaśnienia biedny chłop, jak tonący brzytwy.

Na twarzy radość, nadzieja.

— No, dobrze! Niech i tak będzie. Odliczyć za siekierę. Uwolnić go. Ruszaj, dyabeł z tobą!

mi danej instytucyi. Lekarz - ordynator może zrobić podanie o jakiejś potrzebie do lekarza naczelnego, ten może się zwrócić do Rady piśmiennie, lecz bez zgody kuratora, bez poparcia wniosek jego musi upaść. Rola kuratora w zarządach szpitalów jest bardzo nieokreślona. Znane są przykłady, że przez lata całe formalnie trzęsie on szpitalem, bez jego wiedzy nawet lekarz nie może tam uczęszczać. Kurator, który ma tysiące własnych interesów i spraw do załatwienia, miesiące całe nie bywa w szpitalu. Lekarz naczelny, jeżeli obowiązki swoje traktuje sumiennie, robi jedno przedstawienie po drugiem przez lat kilka lub kilkanaście i wreszcie, zniechęcony, macha ręką na wszystko i czeka, dopóki za nieporządki w szpitalu nie będzie usunięty, albo przynajmniej nie otrzyma wymówki. Trzeba ze strony jego wyjątkowej energii, wyjątkowego poczucia obowiązku, fachowej znajomości szpitalnictwa nowoczesnego, biegłego i celowego zajmowania się szpitalem, żeby utrzymać instytucyę na stanowisku wymagań tegoczesnych.“

Dla ułatwienia naukowej działalności lekarzy szpitale nasze nie posiadają prawie żadnych udogodnień. Niema gabinetów do badań lekarskich, ani też przyrządów, za których pomocą można byłoby badać. Jeden tylko szpital św. Ducha posiada salę operacyjną, odpowiadającą wszelkim wymaganiom. Nigdzie niema pokojów oddzielnych dla chorych po cięższkich operacyach; niema miejsca, gdzieby można było odosobnić chorego w razie potrzeby. „Jęczy, rzuca się, kona wreszcie ze wszystkiemi ceremoniami chwili: gromnicami, modlitwami za umarłych itp.“— wobec sali pełnej innych.

W jakiż sposób usunąć te wszystkie wady i naprawić szpitalnictwo tak, ażeby ono odpowiadało potrzebom społeczeństwa? Przedewszystkiem rozszerzyć oraz udoskonalić stare szpitale i wybudować nowe. Ze względu, że plany muszą być zatwierdzane w Petersburgu i że na zatwierdzenie zwykle trzeba bardzo długo czekać, dr. Nosocomialis zaleca Radzie miejskiej zająć się niezwłocznie tą sprawą, zwłaszcza że ludność na utrzymanie szpitalów płaci podatek specyalny. Przy budowie nowych i rozszerzaniu starych zakładów należy zadośćuczynić następującym potrzebom: wzmocnić pomoc chirurgiczną; stworzyć oddziały chorób usznych, nosa i gardła. Oddziałów tych Warszawa nie posiada, nawet na potrzebę uniwersytetu. Nie posiada także i szpitalów dla dzieci, skutkiem czego studenci, kończący medycynę, nie mogą widzieć i badać chorób dziecięcych; do dwóch zaś zakładów prywatnych wstępu nie mają. Przy szpitalach istniejących należy urządzić wentylacyę ulepszoną (przy pomocy wodociągów), ustępy, wanny, miejsca do rozdawania pokarmów. Poprawić odżywianie chorych. Powiększyć personel służby, lepiej ją wynagrodzić i urządzić dla niej mieszkania. Polepszyć warunki istnienia i zabezpieczyć byt lekarzów; zwiększyć ich liczbę; skrócić lata służby lekarskiej szpitalnej. Dalej: urządzić gabinety do badań medycznych, gdzieby lekarze mogli pracować więcej naukowo; pokoje dla ciężko chorych i tych, którzy poddali się operacyom, a nadto pokoje do dziennego przebywania chorych. Urządzić należycie sale operacyjne, dać chorym odpowiednie materace, poduszki, bieliznę, ubranie itd. Zdjąć z lekarzy przymus wieszania „arkuszy szpitalnych“ nad łóżkiem chorych, aby ci oraz odwiedzający nie czytali przebiegu choroby. Kiedy te „arkusze“ pisano po łacinie, nie były niebezpieczne, ale teraz, gdy są pisane po rosyjsku, wielu znających ten język łatwo może się dowiedzieć o swojej chorobie i pognębieniem moralnem pogorszyć stan zdrowia. Należy pozostawić szpitalom swobodę przy urządzaniu i kupowaniu rzeczy potrzebnych; znieść decentralizacyę władz miejscowych (sióstr miłosierdzia, intendenta i lekarza naczelnego). Lekarz naczelny powinien: zasiadać i mieć głos decydujący, jako członek fachowy, w zarządzie centralnym wszystkich szpitalów. Należy wreszcie ulepszyć i wzmocnić pomoc ambulatoryjną, która obecnie nie posiada funduszów.

Żeby większa część tych zadań mogła być spełniona, trzeba stworzyć zarząd specyalny wyłącznie dla szpitalów, ze względu na ich charakter odrębny. Powinien on mieć wszystkie fundusze w swoich rękach i dowolnie nimi rozporządzać. Trzeba wreszcie wydobyć szpitale z pod skrzydeł dobroczynności i traktować je jako instytucye społeczne.

GOSPODARKA JUNKIERSKA.

II.

Nadmieniliśmy, jak junkrzy, trawieni gorączką nagromadzania bogactw, zagarniali ziemię, wywłaszczając bez skrupułów chłopa. Oczywiście łatwiej nabyć ziemię, niż otrzymać do rozporządzenia odpowiedni kapitał, potrzebny dla jego gospodarki. W tem jeden sęk. Z drugiej strony widzieliśmy, iż ludność wynosiła się do miasta, biorąc na zawsze rozbrat z rolą ojców swoich. Wzbogaciwszy się dostatecznie w ziemię, junkrzy zaczęli odczuwać brak kapitałów i siły roboczej. Wtedy właśnie chwycili się jako deski ratunkowej środka, wypróbowanego już na skórze Polaków. Wszak d[o]wiódł on, iż można obu klęskom zaradzić [z]a pomocą majątków rentowych. Przy jednym ogniu dadzą się upiec dwie pieczenie, jeśli unieruchomi się właściciela majątku rentowego mocą rozmaitych wybiegów prawnych, oddających go na łaskę i[n]... łaskę kaprysów junkra, a z drugiej ... ny jeśli za chłopa, nabywającego zie... poręczy państwo, dając mu do ręki j[edno]cześnie i środki pieniężne. Rozejrzyjmy się jednak, jak doprowadzono do skutku obmyślany przez Bismarcka fortel.

Ażeby nabywca majątku nie stawiał się zbyt hardo sąsiadowi i nie odbierał mu parobka, na to potrzeba jednego warunku: należy mu nie dawać za dużo ziemi. Działy muszą być drobne, tak aby po-

---

— Pokornie dziękuję, wielmożny panie. Tak opatrzony na drogę, poszedł „zaczynać nowe życie.“

Miejsce jego przy stole zajmuje skazaniec w poszarpanej odzieży i koszuli, z pobitą twarzą.

— Wielmożny panie, proszę łaski zwierzchniczej! Nie pozwólcie, żebym zginął! — woła, a raczej lamentuje.

— Co się z nim stało?

— Znowu go pobito! — wyjaśnia starszy dozorca.

— Widzi pan — zwraca się do mnie inspektor — cóż z nim mam robić? Gdzie tylko przeniosę, wszędzie go biją. Wprost zamordować chcą.

— Tak właśnie! — potwierdza dozorca. Do kozy ogólnej, według rozkazu sadzałem, niby za jakąś winę *). Nie uwierzyli! I tam go zbito. Na robotę już go nie posyłam, bo tam to chyba naprawdę zabiją!

Człowiek ten, który ściągnął na siebie taką nienawiść katorgi, jest podejrzany o to, że wskazał, gdzie się ukryło dwu zbiegów.

— Był to pożyteczny człowiek — mówi mi po cichu inspektor. Za jego pośrednictwem wiedziałem o wszystkiem, co się dzieje w więzieniu.

I oto teraz ten „pożyteczny człowiek“ stał przed nami zbity, bez pomocy, zrozpaczony swoją dolą.

Katorga bije go. Co mu poradzą ci, dla których był pożytecznym, wobec rozjątrzonej katorgi.

— Karać ich — dobrze! A oni jeszcze bardziej będą go bili. Mogą zamordować na śmierć.

— I zamordują, wielmożny panie! — mówi ponuro donosiciel — niewątpliwie oni mnie zamordują.

— Powiedz że przynajmniej, kto cię bił? Kto dał początek?

— Zmiłuj się, wielmożny panie, — czyż ja mogę powiedzieć? Tylko tego trzeba, żeby mię natychmiast zabili.

— Widzi pan, jakie zwyczaje! Jakie porządki. Cóż ja mam robić z tobą?

— Wielmożny panie! — woła pobity i chce się do nóg rzucić.

— Nie trzeba, nie trzeba!

— Proszę mię przenieść gdziekolwiek, chociażby do tajgi, choć na brzeg Ochocki. Sił już nie mam; nie mogę znosić tego dzikiego bicia. Kosteczki zdrowej nie mam, położyć się, siąść nie mogę. Całego mię poturbowali wielmożny panie, ja sobie życie odbiorę!

W głosie jego dźwięczy rozpacz prawdziwa, gotowość na wszystko.

Inspektor zamyślił się.

— Dobrze! Odesłać go jutro do 2-go rewiru. Drzewo z tajgi będziesz ściągał.

Jest to jedna z najcięższych robót, ale nieszczęśliwy tak się z niej cieszy, jak ze święta, jak ze zbawienia.

— Dziękuję pokornie, wielmożny panie. Jaśnie wiel...

— Cóż jeszcze?

— Pozwólcie mi tę noc przesiedzieć w celi osobnej. Znowu bić będą.

— Posadzić go! — mówi z uśmiechem inspektor.

— Dziękuję pokornie!

Oto człowiek, oto położenie — gdy koza odosobniona, postrach katorgi jest rajem.

— Czy już wszystko?

— Tak, wszystko.

— No, teraz chodźmy do więzienia na zwolywanie, modlitwę — a potem spać! Późno ludzie dzisiaj pójdą na spoczynek z powodu wyładowywania parowca. Inspektor patrzy na zegarek: — Jedenasta. A jutro o czwartej rano proszę: będzie dyspozycya roboty.

(C. d. n.)

*) Tak bywa często. Donosicieli „dla nieposzlaki“ poddają karze; niby nie cieszą oni się żadną łaską zarządzającego. Często podejrzewani o denuncyacyę przez skazańców proszą nawet, aby ich poddano karze cielesnej — „bo zabiją.“

siadacze ich rozporządzali wolnym czasem, który da się pięknie zużytkować w gospodarstwie latifundyum sąsiedniego. W dodatku sprzedaż drobnymi kawałkami, jak dowiodła praktyka, opłaca się lepiej, niż sprzedaż na większą skalę. Tę właśnie zasadę położono jako kamień węgielny pod prawo majątków rentowych z r. 1890. Wszelkie prawa veta, przysługujące rządowi w kolonizacyi poznańskiej, przeniesiono teraz na właścicieli ziemskich, chcących zbyć swe grunta tytułem majątków rentowych. Wprowadzone w tej formie prawo nie wyposażało jednak w mamonę nabywców oraz junkrów-sprzedawców, o których właściwie idzie. Uzupełnienie tej luki jest zasługą zmieńca politycznego, sławetnego dr. Miquela. Wspominaliśmy wyżej, iż powstałe po r. 1850 banki rentowe wypłacały w listach zastawnych długi chłopów, zwalnianych z pańszczyzny. Te właśnie banki, których misya należała już do przeszłości, miały teraz pospieszyć junkrom z pomocą. One wypłacają w papierach sprzedawcy $^3/_4$ należności; co zaś do pozostałej $^1/_4$ — to kwestyę jej uiszczenia pozostawia się sprzedawcy. Jeśli chce, może żądać gotówki lub też zamienić resztującą część na rzeczywistą rentę, niepodlegającą wcale amortyzacyi; może nawet ją zastrzedz sobie w postaci robocizny lub danin pańszczyźnianych. Z ciekawych szczegółów tego dziwoląga prawodawczego podkreślę jeszcze jeden. W razie jeśli drobny właściciel ziemski zamierza do włości swych przyłączyć kawałek gruntu, może go nabyć również za rentę, lecz w tym wypadku cały jego majątek podpada pod rubrykę rentowych, co znaczy, iż nie ma prawa rozporządzać swą własnością, nie zasięgając rady i zezwolenia ze strony „rentobiorcy.“ W ten sposób wytworzono u we pojęcie własności, przypominające w zasadzie feodalną, albowiem i tu należy odróżniać posiadacza nominalnego od faktycznego, mającego głos stanowczy w sprawach dotyczących losu majątku. Obie reformy prawodawcze osiadły na mieliźnie. Zarówno kolonizacya poznańska, jak jej kopie chybiły celu, z czego nie wypływa, aby junkrowie mieli się zrzec raz na zawsze swej utopii przywrócenia pańszczyzny w formie nowoczesnej lub bardziej przestarzałej. Wspomniane reformy są dokonane pod kontrolą opinii publicznej, legalnie, nie omijając żadnej instytucyi prawodawczej. Lecz czyż junkrzy nie pokusiliby się o pójście naprzód, gdyby stanęli samowładnie u steru niekontrolowani i niekrępowani przez tłum, wolną prasę, parlament wybierany powszechnem głosowaniem itd.? O niefortunnych i mało budujących rezultatach kolonizacyi poznańskiej pisano u nas wiele. Inne pióro kreśliło szczegółowiej na łamach *Prawdy* losy tej barbarzyńskiej proby prawodawczej. Poprzestanę więc na kilku cyfrach. Do r. 1895 założono majątków rentowych w dwu prowincyach polskich 1,606, czyli, innemi słowy, za sto lat komisya kolonizacyjna osiedli wśród 2½ mil. Polaków 100 tys. Niemców kosztem 100 mil. marek. Jak wykazał prof. Delbrück, podniosła ona nawet w wielu miejscowościach cenę ziemi. W obliczeniach swych przyjęła 560 marek jako przeciętną cenę hektara. W rzeczywistości musiała płacić 614 marek. Mało pocieszającymi są również wyniki drugiej ustawy. Stworzono wprawdzie kilka tysięcy majątków rentowych, lecz czyż to nie kropla w morzu apetytu junkierskiego i nędzy chłopskiej? A jednak nie koniec na tem. Junkrzy nie poprzestali na nowej ustawie: pod ich wpływem trzej ministrowie pruscy postawili w sejmie krajowym w roku przeszłym wniosek zaprowadzający prawo majoratu we wszystkich majątkach rentowych. Ustawa ta krzywdzi spadkobierców z korzyścią dla tego, któremu przypada w udziale spuścizna. Przytem dekret upoważnia rząd do zawieszania tego prawa nad majątkami rentowymi nawet wbrew zgodzie ich właścicieli. Nie dość więc, że świeżo upieczony i fikcyjny „posiadacz“ zostaje przykuty do ziemi w razie nieumarzalnej wieczystej renty, nie dość, że nie może dzielić majątku, ani sprzedawać, zostaje w dodatku pozbawionym możności rozporządzania nim w razie zapisu. Nawet nowy kodeks cywilny pozostawia nietkniętymi przepisy, dotyczące majątków rentowych. Całą jednak sprawę wieńczy zrobiona nawiasem przez Miquela wzmianka, iż rozpoczęte reformy są zaledwie pierwszym krokiem na drodze dalszej poprawy losu junkrów.

Trudno twierdzić, iż rząd w swej gorliwości o dobro pupilka zaspał swe własne gruszki w popiele. Bismarck opierał się na konserwatywnem chłopstwie, które bądź głosuje za katolickiem centrum, bądź za ewangelickimi zachowawcami. Utworzenie nowych właścicieli ziemskich, chociażby na papierze, pomnoży zastępy prawowiernych obywateli, ufnych w szlachetne zamiary swych ministrów. Rządowi jest również nie na rękę napływ ludności do miasta; jakkolwiek czerpie stamtąd przeważnie swe soki finansowo, niechętnem wszakże okiem spogląda na fermentacyę umysłów, będącą tam na porządku dziennym. Przejście hegemonii do miast może pociągnąć za sobą przeistoczenie całego prawodawstwa społeczno-politycznego. Ulegając więc uczuciu samozachowawczemu, rząd pruski stara się powstrzymać ów rozwój i zabalsamować cały ustrój w formie feodalnej, z drugiej strony sami junkrowie w razie zaludnienia napowrót wsi zachowaliby swe wpływy i aureolę panów. Lennik nowoczesny, powolny służka feodała, traci swą pełnoletność polityczną i polega we wszystkiem na jego mądrości.

Zresztą nawet przeciwnicy ustawy potrafią dostrzedz w niej pewne oznaki szerszego poglądu na sprawy społeczne. Prawo jako punkt wyjścia obiera brak ziemi i nieprzeparte dążenie do nabycia jej, nurtujące w ludności wiejskiej. Chłop w razie możności usadowienia się na rozleglejszym gruncie podpisze obiema rękami uciążliwe zobowiązanie. Nakłada się więc na niego rentę; $^3/_4$ jej wypłaca rząd. Jak wykazało doświadczenie, ułamek ten przewyższa istotną wartość majątku. Nadto właściciel tytułem reszty może ustanowić wieczystą rentę. Ma nawet prawo pobierać ją w formie pracy lub produktów rolnych. Nowy właściciel, nie mogąc utrzymać się ze swego lilipuciego szmatka ziemi, zaofiaruje dziedzicowi swą siłę roboczą. Gdyby nabywca wyszedł na tranzakcyi, jak Zabłocki na mydle, nie może się ruszyć z miejsca. Nie może ani dzielić, ani sprzedawać majątku bez zgody swego feodała. Nie może nawet w testamencie zapisać ziemi swym dzieciom; wszystko przechodzi na starszego syna, co ułatwia feodałowi kontrolę i panowanie.

Dotychczas zgłosiło się stosunkowo niewiele osób, które chciałyby siebie i potomstwo oddać na wieki w ręce satrapów rolnych. Wszak ludność wiejska porzuca wieś nietylko dla braku zajęcia; pragnie ona przedewszystkiem wolniejszego życia w mieście, gdzie nie czuwa nad nią nieustannie opatrznościowe oko despoty wiejskiego. Ankieta w sprawie mieszkaniowej wykazała, w jakich troglodytowych jamach muszą zamieszkiwać bez szemrania najmici wiejscy. Rząd powierza często władzę administracyjną dziedzicom; każdy więc najlżejszy i najsłuszniejszy protest pociąga za sobą kary drakońskie. Czyż ludność wiejska może się dać złapać na lep zwodniczej formalności, aby związać sobie ręce i nogi na zawsze i włożyć na kark obrożę niewolnictwa? Oprócz tego majorat, zaprowadzony na ziemiach rentowych, sprzeciwia się pojęciom prawnym ludu i razi go jako krzycząca niesprawiedliwość. Z tego powodu reforma nie ma wielkiej przyszłości, chociaż daje wspaniały klucz dla przeniknięcia w tajniki duszy junkierskiej. Za nic w świecie nie chcą junkrowie rozstać się z mrzonką wskrzeszenia pańszczyzny i za sutą miskę soczewicy sprzedać pierworodztwa politycznego. Krnąbrne Izby poselskie stawiają czoło romantycznym zapędom. Przeto domagają się junkrowie coraz głośniej „zamachu stanu“ oraz zniesienia powszechnego prawa głosowania i parlamentaryzmu. Gdyby mieszczaństwo przegrało w przyszłym roku swą sprawę, bylibyśmy świadkami reakcyi, o jakiej się może nie śniło samemu Bismarckowi. Rozpocząłby faktycznie politykę powrotu do wieków średnich.

H. F.

POLITECHNIKA W WARSZAWIE

PRZED ROKIEM 1830.

Obecnie, kiedy się tak dużo mówi i pisze o zaprowadzeniu szkoły politechnicznej w Warszawie, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że już przed laty przeszło 70 nietylko myślano u nas o uorganizowaniu takiej instytucyi, ale też podjęto bardzo poważne przygotowania w tym kierunku.

Nie mam tutaj pretensyi do pisania historyi tych usiłowań, chciałbym tylko zwrócić na nie uwagę tych, co mają techniczne wykształcenie, a przytem dostęp do archiwum okręgu naukowego warszawskiego, aby się sprawą tą zajęli i należycie ją wyświetlili. Podaję więc to tylko, co mi wiadomo, nie zapuszczając się w nowe poszukiwania.

Przemysł Królestwa Polskiego zaczął się rozwijać około r. 1822. Główne dzisiejsze jego ogniska już wtedy istniały. Dwaj ministrowie, Stanisław Staszyc i książę Lubecki, gorliwie popierali wszelkie usiłowania, mające na celu podniesienie dobrobytu materyalnego w kraju. Z ich to zapewne inicyatywy powstał projekt założenia w Warszawie instytutu politechnicznego, któryby przysposabiał teoretycznie i praktycznie młodzież polską do objęcia posad, zajmowanych dotychczas przez cudzoziemców.

Profesorów, należycie przygotowanych do zajęcia katedr w takim zakładzie, prawie zupełnie wtedy u nas nie było; wypadło więc wyrabiać ich powoli. W tym celu starano się pozyskać studentów, którzy kończyli nauki przyrodnicze w uniwersytecie warszawskim, obietnicą przyszłych posad i wyprawiano ich za granicę, ażeby tam w odpowiednich zakładach nabywali i znajomości pewnych określonych fachów i praktyki w stosowaniu zasad naukowych do wyrobów przemysłu. Wszyscy prawie przyszli profesorowie instytutu politechnicznego porodzili się już to przy końcu XVIII, już to na początku XIX stulecia.

Znamy trochę dokładniej koleje jednego z nich, Antoniego Hanna, urodzonego w Warszawie r. 1796, a zmarłego tamże w r. 1861. Ukończył on wykształcenie swoje w r. 1822, uzyskawszy stopień magistra filozofii w oddziale nauk przyrodniczych. Jeszcze jako kandydat do stopnia naukowego oddawał się on zajęciom praktycznym w pracowni chemicznej, zostającej pod zawiadywaniem profesora chemii, Adama Kitajewskiego. Potem został adjunktem-preparatorem przy katedrze chemii, co mu dało sposobność do samodzielniejszej pracy; owocem jej była rozprawa o kwasie jarzębinowym i jego związkach, nagrodzona medalem złotym.

Ze szczupłym funduszem, jaki potrafił uzbierać, odbył w czasie wakacyi dwukrotną podróż do Niemiec, Czech i Węgier w celach naukowo-technicznych. „Pamiętamy jeszcze tę chwilę—powiada jego biograf, Józef Bełza— gdy z tłomoczkiem na plecach i laską podróżną wychodził z Warszawy, aby między obcymi zbierać gruntowne wiadomości; a to niepokaźne przedstawienie się może mu nieraz więcej pomogło do dowiedzenia się prawdy, zwłaszcza między prostymi fabrykantami, niżby to mógł osiągnąć inny, okazalej podróżujący."

W roku 1825 wysłany został kosztem rządu za granicę i przebywał tam aż do roku 1829, ucząc się w zakładach przemysłowych wiedeńskich i paryskich, a w czasie wakacyi zwiedzając fabryki w Niemczech, Francyi, Belgii, Holandyi a wreszcie i Anglii; w niektórych z tych fabryk, chcąc się wykształcić praktycznie, pracował jako prosty robotnik.

W ten mniej więcej sposób przygotowywali się do przyszłego zawodu młodzieńcy z uniwersyteckiem wykształceniem.

W roku 1826 można było już otworzyć „szkołę przygotowawczą do instytutu politechnicznego." Z każdym następnym rokiem zakład ten się zwiększał, liczba katedr się pomnażała w miarę tego, jak przybywali wykształceni za granicą kandydaci do posad. W ostatnim roku istnienia tej szkoły, to jest 1830—31 składała się ona z czterech oddziałów: rękodzielno-chemicznego, handlowego, mechanicznego oraz inżenieryi cywilnej.

W oddziale rękodzielno-chemicznym były wykładane następujące przedmioty: primo: chemia techniczna; secundo: technologia chemiczna, obejmująca naukę farbierstwa, garbarstwa, mydlarstwa, fabrykacyi tak zwanych wyrobów chemicznych; tertio: technologia chemiczna, zastosowana do gorzelnictwa, piwowarstwa i innych zawodów, zostających w ścisłym związku z rolnictwem; quarto: hutnictwo.

W oddziale handlowym wykładano: naukę o wekslach i spekulacyach wekslowych oraz buchalteryę.

W oddziale mechanicznym uczono: primo: mechaniki technicznej, secundo: budownictwa machin, tertio: technologii mechanicznej; quarto: rysunków geometrycznych.

Oddział inżenieryi cywilnej mieścił w sobie następujące nauki: 1) miernictwo; 2) architekturę cywilną wraz z prawem i policyą budowniczą; 3) rzecz o komunikacyach lądowych i wodnych; 4) teoryę uspławniania rzek.

Do wykładu wszystkich tych nauk technicznych, oraz pomocniczych miała szkoła w r. 1830—31 szesnastu profesorów. Dyrektorem szkoły był młody naówczas, 30-letni Kajetan Garbiński (ur. 1796, zm. 1848), doktór filozofii, członek Towarzystwa przyjaciół nauk, profesor uniwersytetu warszawskiego. Ze studyów swoich był on matematykiem. Doktorat otrzymał (r. 1822) za napisanie i obronę rozprawy pod tytułem „Wykład syntetyczny własności powierzchni skośnych, z ich przystosowaniem do konstrukcyi machin, sklepień kamiennych itp." Potem ogłosił „Rys filozoficzny rachunku losów, czyli rachunku prawdopodobieństwa" (1823). W szkole politechnicznej wykładał on naukę utrzymywania ksiąg kupieckich oraz naukę o wekslach i spekulacyach wekslowych. W późniejszem życiu był redaktorem „Roczników gospodarstwa krajowego," napisał przedmowę do przetłomaczonej pod jego kierunkiem „Chemii" Petzholda.

Naukę garbarstwa, farbierstwa, mydlarstwa i produktów chemicznych prowadził znany już nam Antoni Hann, który w r. 1830 zarządzał fabryką saletry, otrzymywanej z tynku murów, potem był intendentem, a w końcu dyrektorem mennicy.

Gorzelnictwo, piwowarstwo i t. p. oraz botanikę wykładał Jan Koncewicz (ur. r. 1795 zm. 1852), który potem ogłosił praktyczne podręczniki gorzelnictwa (r. 1841) oraz piwowarstwa (r. 1847) i napisał rozprawę „O potrzebie ścisłego stosowania się w budowaniu domów do klimatu i natury używanych materyałów" (1836).

Chemię techniczną ogólną wykładał Teofil Rybicki (ur. 1805, zm. 1859), który potem wydał „Zasady technologii chemicznej" (r. 1846).

Mechaniki technicznej ogólnej uczył Stanisław Janicki (ur. 1798, zm. 1855). W r. 1823, celem osiągnięcia stopnia doktora filozofii w uniwersytecie warszawskim, napisał rozprawę „O machinach *parnych*." W 1830 wydawał „Pamiętnik fizycznych, matematycznych i statystycznych wiadomości z zastosowaniem do przemysłu," a potem od r. 1835 ogłaszał corocznie aż do zgonu bardzo dobry i poszukiwany „Kalendarz domowy i gospodarski," w którym między innemi pomieszczał także rozprawki swoje Antoni Hann.

Technologię mechaniczną i rysunek warsztatów wykładał August Bernhardt, który następnie w roku 1842 wydał pierwszą część „Płóciennictwa," obejmującą „uprawę roślin włóknowych, wyrabianie włókna i przędziwa"; przetłomaczył prócz tego geometryę wykreślną i trygonometryę Lefebure'a.

(D. n.).

P. Chmielowski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Polemika.

Właściwie nie należałoby mówić, że nieszczęście jest piorunem, spadającym z nieba pogodnego, ale że szczęście jest błyskawicą nieba pochmurnego. Na dowód składam osobiste doświadczenie. Mogłem był oczekiwać w życiu wielu niespodzianek: że np. bodaj raz gazety doniosą o moim wyjeździe do Wielkiego Dębego lub o „noszeniu się" z jakąś myślą; ale o tem, że będę nadwornym dostawcą perfum dla stańczykowsko-ultramontańsko-konserwatywnego *Słowa* herbu biały Rak — o tem nigdy nie marzyłem. A jednak ten zaszczyt mnie spotkał. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu dziennik ten wybrał sobie flakonik olejku nazwiskiem „Wskazania polityczne" A. Świętochowskiego i postawił go na swej toalecie. Odtąd stale nim się skrapia w przekonaniu, że bardzo pięknie pachnie. A ja patrząc na to, uśmiecham się i rosnę w dumie!

Ale jakkolwiek rad jestem, że taki wielki pan używa mojego wyrobu, a nawet ratuje nim swoje stosunki z ludźmi, muszę w interesie własnym ogłosić, że mój olejek powstał taką drogą. Przed dwudziestu kilku laty grono gorących umysłów i szlachetnych serc, zwanych „młodą prasą" lub „pozytywistami warszawskimi," czując w sobie świeże siły, a naokoło siebie widząc ospałość, ciemnotę, stęchliznę, życie nierwące się bystrym potokiem, lecz stojące niby zamulona sadzawka, w której tylko żaby rechotały hałaśliwie — postanowiło na rozum i uczucia ogółu oddziałać silną podnietą krytycyzmu i zapału. Zastęp ten porzucił „wyższą politykę," która powiodła przeszło pokolenia do złudzeń, ciężkich klęsk i strasznych rozczarowań, a zajął się „niższą," która dążyła do wzmocnienia sił społecznych. Pod hasłem: rozwój wewnętrzny, kulturalno-narodowy, podjął on zaciętą walkę, która zakończyła się jego świetnem zwycięztwem, bo wywołała silny ruch umysłowy, sięgający swojemi falami aż do naszych czasów. Pomimo że takie hasło jest lub być powinno zasadą życia każdego narodu i stanowi dogmat wszystkich uczestniczących w postępie cywilizacyi, ściągnęło ono na swoich rzeczników burzę krzywdzących gromów i ulewę potwarczych złorzeczeń. Nie było prawie występku, o któryby nie posądzono „pozytywistów." Oskarżano ich o szerzenie demoralizacyi, namowę do nierządu, kradzieże, oszustwa, i to nietylko w szeptach lub głośnych opowieściach, lecz nawet w pismach publicznych. Tak np. stary niepoń i grześnik *Czas* krakowski zamieszczał jakoby wykradzione a przez niego zmyślone raporty urzędowe, przesyłane z Warszawy do Petersburga a zawierające wykaz żołdu, wypłacanego najmitom z „młodej prasy," podczas gdy ci biedacy bezpłatnie lub po groszu od wiersza honoraryum w niedostatku pisywali swe artykuły. Półsłówkami wtórowały tej niecnocie niektóre pisma warszawskie. To staranie „pozytywistów" o światło, ciepło, czystość, zamożność społeczeństwa w własnym domu i tę ich zgrozę na niecne oszczerstwa wyraziłem we „Wskazaniach politycznych," z któremi *Słowo* chce dziś po latach 15 zharmonizować swój obecny „program," zarzucając mi przytem, że sprzeniewierzyłem się moim dawnym „rozumnym, odwagą cywilną i szlachetnym zapałem tchnącym poglądom." Zaiste, trudno nie parsknąć śmiechem, widząc w tej roli *Słowo*, krewniaka *Czasu* krakowskiego i potomka *Echa*, które stale odbrzmiewało paszkwilami na moje utwory i artykuły, oraz jego redaktora, p. Mścisława Godlewskiego, który należał do „młodej prasy," a potem jak łoś zrzucał kilkakrotnie rogi stare i dostawał nowych, zyskując tym sposobem prawo wyrzucania innym niestałości przekonań. *Dans la maison d'un pendu on ne parle pas de cordon!*

Wyobrażam sobie możliwość takiego położenia, w którem uważałbym zmianę poglądów politycznych za obowiązek mojego sumienia i rozumu. Bo polityka nie jest nauką ścisłą, od czasu i miejsca niezależną, ale spekulacyą praktyczną. Jej mistrzo nie zmieniają częściej swych mundurów i fraków, niż zasad. Ktoby chciał mieć na wszystkie czasy i wypadki polityczne jedną regułę, byłby rodzajem maniaka, któryby uparcie jeździł bryczką pomimo wprowadzenia kolei żelaznych, lub oświetlał mieszkanie łuczywem pomimo rozpowszechnienia nafty. Czy jest lub był w świecie mąż stanu, któryby zaprzysiągł w imieniu swego państwa, że bez względu na rozwój stosunków będzie stale w przymierzu z jednem mocarstwem a w wojnie z drugiem? Nie, bo to byłoby godnem dziwaka, który jada tylko serdelki z wędlarni na Lesznie, a pije piwo tylko w bawaryi na Nowym Świecie. Sama tedy zmiana poglądów politycznych nie jest żadną kompromitacyą, przeciwnie potrzebą, a ci, co ją potępiają lub z niej szydzą, podobni są do żołnierzy, którzy otrzymawszy rozkaz pochodu, szemrzą: „Głupi ten nasz wódz! W przeszłym roku kazał nam maszerować na wschód, a teraz na zachód."

Nie o to więc chodzi, ale o to, ażeby nie tumanić opinii publicznej podrobioną zaprawą, nie wyprawiać przed społeczeństwem kuglarskich sztuk z cudzych wyrazów i przekonań, ażeby dla zyskania popularności nie przebierać się w suknie, skrojone według innej miary i uszyte w innym czasie. Jakkolwiek „młoda prasa" mianowała niektóre swoje wywody i zasady politycznymi, w istocie były one

tylko społecznymi, tj. szeregiem rad, wskazówek, zachęt, zamkniętych w obrębie — że tak powiem — gospodarstwa kulturalno-narodowego. Polityką, w właściwem znaczeniu tego słowa, nie zajmowała się ona nigdy. Nie zabierała wcale głosu w sprawach stosunku Polaków do rządu i narodu rosyjskiego, ich współudziału w życiu państwowem itd. — to pole pozostawiła ona nietkniętem, bo nie miała na niem nic do roboty. Mówiła lub myślała: należymy do państwa rosyjskiego — to jest fakt; mamy spełniać wynikające z tej zależności obowiązki — to jest konieczność. To była cała nasza polityka w ówczesnej epoce. Po za nią dopiero otwierała się dla nas szeroka dziedzina pracy kulturalnej we wszystkich kierunkach. Dowodziliśmy naszemu społeczeństwu prosto i szczerze potrzeby: oświaty ludu, badań naukowych, uprawy sztuk, demokratyzacyi pojęć, podnoszenia dobrobytu materyalnego itd. I oto *Słowo*, które zupełnie pominęło tę naszą dziedzinę i hetmańskim palcem wskazało społeczeństwu inną, przez nas zupełnie pominiętą, które spróchniałymi zębami zaczęło gryźć twardy orzech stosunków politycznych, a przemilczało zupełnie o kulturalnych — kraje i wrzuca do swego ze stęchłej kapusty ugotowanego bigosu kawałki naszego mięsa, w nadziei, że on będzie smaczniejszy, pożywniejszy, a nadewszystko strawniejszy.

Ze wszystkich rodzajów publicystycznego junactwa może najlichszem jest to, które broni się „podobieństwami.“ Prawdziwie śmiali wyznawcy jakiejś idei nietylko nie lękają się ujawnienia swych różnic z innymi, ale je wyraźnie akcentują. Tak postępowali bojownicy „młodej prasy.“ Tymczasem *Słowo* nie ma tej odwagi, na zarzut głośny, na szept, na milczenie wzgardliwe odpowiada tchórzliwą bladością, drżeniem jąkających się warg i uroczystemi zapewnieniami, że ono nic nowego nie wymyśliło, tylko powtarza to, co przed niem powiedzieli „pozytywiści warszawscy,“ Świętochowski, A. Wielopolski, obecnie zaś *Wiek* i inni. Przedstawia ono w tem zabawnem — jakby się wyraził Darwin — *mimicry* widok lękliwego dudka, który przelatuje z drzewa na drzewo i przytulając się do gałęzi, udaje ich sęki. W polemikach z przeciwnikami jawnymi i domyślnymi nie otwiera śmiało całego swego kramu i nie rozkłada na stole wszystkich swoich towarów, lecz na jednych siada, drugie kryje w szufladzie, inne osłania połą, a pozostawiwszy kilka sztuk na wierzchu woła: „łaskawa publiczności, na moje sumienie, ja sprzedaję tylko to, co mój sąsiad, który mnie zniesławia.“ Gdy *Słowo* zadeklamuje: „Bez serca, bez ducha — to atletów ludy,“ a ktoś roześmieje się z tej niedorzeczności, ono natychmiast odeprze: „Alboż *Oda do młodości* nie zaczyna się od tych słów: „Bez serca, bez ducha — to...“ Że zaś po tych wyrazach u niego następuje: „atletów,“ a u Mickiewicza „szkieletów,“ o tem ono przemilcza, a przyparte — wykręca się: atletów i szkieletów — to wszystko jedno — rytmu nie psuje.

Mimo wszakże tego *mimicry*, wilkołactwa, zszywania swej opończy z cudzych skrawków, przez jej dziury wyłazi kłamstwo. A kłamstwem jest twierdzenie, jakoby nasi „pozytywiści“ lub ktokolwiek z nich wyraził nową formułę dla tej dziedziny stosunków, którymi zajmuje się *Słowo*, a tem mniej, jakoby to była formuła tego dziennika i jego konstelacyi w naszej prasie. W słowniku naszych ówczesnych artykułów nie było nawet tych wyrazów, z których się składają naczelne przykazania *Słowa*.

Wymawia mi ono, że przed 15 laty broniłem samozwaństwa „jednostek światlejszych“ jako przewodników narodu, a teraz je potępiam. Jest to nieprawda. Zarówno wówczas, jak dziś, wyznaję, że każdy człowiek rozumny i uczciwy posiada mandat nietylko od narodu, ale od całej ludzkości na to, ażeby ją oświecał, uszlachetniał, wskazywał jej drogę do szczęścia, dobra i wiekuistych ideałów życia. Ale jak wówczas, tak i dziś utrzymuję, że jest to przywilej wielkich rozumów i charakterów, których w konstelacyi *Słowa* nie widzę — i w tem właśnie tkwi rdzeń różnicy nie moich, lecz naszych z niem poglądów. Widzę natomiast dużo bezmyślności, zuchwalstwa, samolubstwa, sportu, ujmowania spraw ciężkich rękami nieudolnemi. Nie dość chcieć, trzeba umieć. Kapłaństwo społeczne, jak inne, wymaga pewnych przymiotów, uzdolnień i święceń. Może *Słowo* rozdymać aż do pęknięcia zarówno siebie, jak swoich towarzyszów, czy wodzów, my w nich nie uznamy nawet zalążków — mężów stanu. Jest to szereg zer politycznych, przed któremi nie stanęła ani jedna cyfra. A dla takiego szeregu rzeczywiście najwłaściwszem hasłem byłby z ironicznego na poważny zmieniony tytuł artykułu *Słowa*: „nie róbmy polityki.“ Zgodzimy się nawet na: „nie róbmy,“ zamiast: „nie róbcie.“

W wykonaniu tej rady daję przykład z siebie. Nie robiłem i robić nie będę polityki, bo naprzód nie mam i mieć nie pragnę wymagalnych ku temu uzdolnień, a powtóre nie widzę do niej żadnego materyału. Dla mnie cała polityka nasza obecnej doby zamyka się w kulturze narodu, w rozwijaniu wszystkich tych pierwiastków jego istoty, tych czynników jego pracy i tych sił jego życia, które składają się na jego naturę, na jego szczęście, na jego stanowisko w rzędzie społeczeństw cywilizowanych.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ZBRODNIA W SZTUCE

Gdy przed kilkunastu laty C. Lombroso po raz pierwszy sformułował poglądy swoje na naturę fizyczną i duchową przestępców, przyjęto teoryę jego nietylko z niedowierzaniem, ale z obojętnością. Powątpiewano wprost o jakiejkolwiek korzyści szczegółowszych studyów nad kryminalistami.

Kryminologia należy dzisiaj do modnych gałęzi wiedzy, posiada bowiem kilka czasopism, do których nowe przybywają z każdym rokiem, i może pochwalić się obfitością dzieł, poświęconych zbrodnictwu. Nawet powieściopisarze tej miary, co Zola i Bourget, rozpowszechniają w utworach swoich zapatrywania szkoły włoskiej, jeśli ją można nazywać jeszcze włoską. Ten dział wiedzy rozrósł się niepomiernie i zdobył popularność w gronach pospolitych prostaczków, którzy o innych gałęziach antropologii nie słyszeli. Ale nie sądźmy, ażeby zawdzięczał on swój rozgłos tylko doniosłości wysnuwanych wniosków lub rozwijał się pod działaniem istotnych, zdrowych potrzeb społeczeństwa. Bo co do wartości prac, ukazujących się obecnie, jest ona poniekąd w stosunku odwrotnym do rozmiarów piśmiennictwa, poświęconego kryminologii. Już Tarde zrobił przed kilku laty ironiczną uwagę, że wiatrak obraca się, ale niewiele mąki wydobywa się z pod żaren. Wychodzące książki zajmują się biografią kilku zbrodniarzy lub zawierają sprawozdania z dość jałowych zwykle studyów nad symetryą lub nieprawidłowością pewnej części czaszki, słowem poprzestają na drobiazgach. Główne fundamenty gmachu zostały założone, jedynie cegiełki są gromadzone — liczne, ale w coraz gorszym gatunku.

Nie naukowa więc wartość prac z zakresu kryminologii rozstrzyga o ich rozpowszechnianiu

I, dodajmy, nie rzeczywiste a zdrowe potrzeby społeczne wpływają na rozwój zajmującej nas tu gałęzi wiedzy. Nie zaprzeczamy, że zbrodnia stanowi w społeczeństwie tegoczesnem objaw smutny, ale powszechny, nawet tak powszechny, że rzadko kto ma należyte pojęcie o jego rozległości. We Włoszech, w ciągu lat dziesięciu 1883 — 1892, sądy ukarały 3 350,000 osób za małe i wielkie przekroczenia, tj. dziesiąta część całej ludności półwyspu Apenińskiego przeszła przez trybunały, które miały dziennie do czynienia prawie z tysiącem oskarżonych. We Francyi spotykamy podobne zjawisko: w okresie lat 1879—1878, ten sam los dotknął aż 6½ miliona obywateli. Ale pomimo takich rozmiarów zbrodni, obfitość literatury kryminalnej jest zadziwiająca i nienormalnie wielka. Istnieją i inne bolące miejsca w życiu narodów europejskich, które chociaż tak samo doniosłe i nawet może donioślejsze, są pomijane milczeniem. Powodów popularności, jaką antropologia zbrodni cieszy się dzisiaj, trzeba zatem poszukiwać gdzieindziej — ta gałęź wiedzy stała się poniekąd łupem sensacyi i dlatego właśnie tak wzrasta. Wypadło mi świeżo przeglądać dzieła z tego zakresu nauki, które wyszły w Niemczech w ciągu kilku lat ostatnich. Nagłówki i rozpisywane reklamy nie pozostawiały ani na chwilę wątpliwości, że chodzi tam aż nazbyt często o przemycanie pornografii przed maską nauki. Lombroso, Ferri, Benedikt i kilku innych są ludźmi nauki, którzy podnieśli pewne kwestye dla względów poważnych. Lecz książki ich doczekały się trzech i czterech, a nawet dziesięciu wydań, tj naprzekór zamiarom badaczy, okazały się dobrym interesem. Okoliczność ta nie omieszkała wywrzeć wpływu. I wydawcy i inni „uczeni“ zrozumieli, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. Znam przypadki, w których księgarze zwracali się do lekarzy i sądowników z propozycyą napisania czegoś z zakresu kryminologii — „ciekawego.“ Jedni odmówili, lecz inni przyjmowali chętnie taką ofertę. Nie dziw, więc, że dzisiaj prace kryminologa Moraglia i in. znajdują się na wystawach księgarskich berlińskich obok opisów tego miasta w porze nocnej, oraz fotografij, których pewne części policya obyczajów kazała przykryć.

Kilka tych uwag nasunęło mi się z okazyi pracy Henryka Ferri'ego, poświęconej rozbiorowi wizerunków zbrodniarzy w sztuce i w literaturze. Ferri należy niewątpliwie do najszczerszych i najsympatyczniejszych umysłów śród grona kryminologów i w żaden sposób nie chcielibyśmy pozostawić wrażenia, że powyższe zarzuty mogą dotyczyć jego działalności naukowej. W ostatniej pracy swojej poddaje on analizie typy zbrodnicze, spotykane w literaturze nadobnej i sztuce. Właściwiej należałoby powiedzieć: tylko w literaturze, bo rzeźba i malarstwo wyjątkowo odtwarzają przestępców. Rzecz to zrozumiała. Na sto obrazów (w rzeźbiarstwie stosunek ów ukształtował się jeszcze niekorzystniej) zaledwie jeden lub dwa czerpią wątek z dziedziny kryminalnej, w dramacie zaś i w powieści owa liczba dosięga niemal dziewięćdziesięciu. Taka różnica wypływa przedewszystkiem z rozmaitej natury wspomnianych sfer twórczości artystycznej. Malarstwo i jeszcze bardziej rzeźba są zdolne utrwalić tylko jedną chwilę życia przedstawianych osób, tymczasem powieść roztacza całe pasma idących po sobie stanów duchowych. Beletrystyka może wyczerpić

przedmiot drobiazgowo, unikając stron nieartystycznych. Pędzel odmawia w tym razie posłuszeństwa: musiałby on wybierać chwile najdrażliwsze, które często budzą odrazę. Rozbiór Ferri'ego obejmuje więc prawie wyłącznie utwory pióra.

Badacz włoski rozpoczyna studya od utworów świata klasycznego, przechodzi w dalszym ciągu do Shakespeare'a i Dantego, do Schillera i in., zastanawia się nad powieściami brukowemi *à la* Gaboriau, ażeby skończyć na Zoli i Bourgecie, Dostojewskim, Tolstoju i Ibsenie. Chodzi mu o zaznaczenie, o ile autorowie uchwycili istotne rysy świata zbrodniczego, o ile zaś dali uwieść się wyobraźni. Może komuś z czytelników nasunie się pytanie, które przeszło mi przez myśl przy początkowych rozdziałach książki Henryka Ferri, mianowicie jaki pożytek można odnieść z tego rodzaju analizy. Czy nasze wzruszenie emocyonalne wzmoże się pod wpływem tego, że dowiedzieliśmy się, jako J. Valjean z „Nędzników" Wiktora Hugo nie przedstawia w fizyognomii swojej piętna zbrodniczego i że tyrady humanitarne poety francuskiego wykazują głęboką nieznajomość psychologii przestępczej, bo dotyczą tylko zbrodniarzy przypadkowych? Czy nasze wrażenie będzie mniejsze, gdy uświadomimy sobie, że Roskolnikow nie jest zbrodniarzem urodzonym, tylko maniakiem i obłąkańcem? Ale zarzuty nasze pierzchły w dalszym toku czytania. Zrozumieliśmy, że wprawdzie tego rodzaju rozbiory nie pogłębiają naszych zachwytów artystycznych, natomiast przynoszą inną korzyść: pozwolą zrozumieć talent twórczy samego pisarza. Uczony, który poświęcił całe życie studyom nad pewnym typem biologicznym i duchowym, który zna przewybornie najrozmaitsze jego odmiany i zgłębił logikę jego uczuć i namiętności, z innym zasobem faktów przystępuje do oceny figur powieści, aniżeli zwykły krytyk, rozporządzający umiejętnością ładnych frazesów i wrażliwością na harmonię obrazów. Będzie on rozbierał utwór tylko ze stanowiska wzruszeń własnych i biorąc swoje przyjemne uniesienia za jedno z rzeczywistością, ogłosi dzieło całe lub sytuacye za pełne prawdy, chociaż rzecz nie ma żadnego prawa do takiej nazwy. O fizyognomii autora, tj. o umiejętności podchwytywania istotnych rysów życia, można otrzymać z takiej oceny jak najfałszywsze wyobrażenie. Tymczasem zdarzają się przypadki, w których pozyskanie należytego pojęcia o tej stronie czyjejś twórczości ma nawet doniosłe znaczenie praktyczne. Taki „Uczeń" Bourgeta był pociskiem publicystycznym, który dużo przyczynił się do tak modnego dzisiaj ujadania na wiedzę, zwłaszcza na psychologię fizyologiczną. Krytyka naukowa specyalistów odrazu z plew wydobywa ziarno; odsłaniając zdolności realistyczne pisarza, nadaje jego utworom znaczenie prostego, *a priori* powziętego urojenia, lub przedstawienia stosunków rzeczywiście istniejących.

Ferri, biorąc się do oceny typów zbrodniczych w utworach beletrystyki, przedewszystkiem zwraca uwagę czytelnika na to, że psychologia duszy zbrodniczej jest inna, aniżeli człowieka normalnego. Jedynie przestępca przypadkowy lub działający pod parciem silnej namiętności rozumują i postępują tak, jak zwykła logika tego wymaga. Natomiast zbrodniarz urodzony i obłąkanice zmysłu moralnego przedstawiają w fizyognomii swojej mnóstwo wybryków i dziwactw. Odznaczają się oni zadziwiającą nieumiejętnością ukrycia przestępstwa, a nawet chwalą się i opowiadają o niem w sposób dziecinnie naiwny, tak iż postępowaniem swojem naprowadzają przedstawicieli sprawiedliwości na ślad własny; nie czują wyrzutów sumienia, ale z największym cynizmem i obojętnością spoglądają na czyny najdziksze, nie umieją nawet obmyśleć wykonania i zapominają niekiedy przedsiębrać najpospolitszych środków ostrożności, wreszcie nie obawiają się kary śmierci, lub dokładniej: nie czują wzruszenia z tego powodu, ani nie są zdolni do poprawy. Mistrzowie pióra umieli uchwycić tę stronę duchowości zbrodniczej i oddać ją nieświadomie. Niektórzy krytycy zarzucają Makbetowi nienaturalność: po dokonaniu morderstwa chwali on się przed żoną z popełnionego czynu, acz należało oczekiwać, iż powinien pokryć milczeniem przestępstwo. Ferri odpowiada na to, że taką byłaby logika pospolitego człowieka, lecz co do zbrodniarza urodzonego, Shakespeare uchwycił jak najtrafniej jeden z najcharakterystyczniejszych jego rysów, i przytacza dowody, jak takie samochwalstwo jest nieodłączne od niepoprawnego przestępcy. Wogóle badacz włoski nie posiada dość wyrazów dla zaznaczania poczucia rzeczywistości, właściwego utworom wielkiego dramaturga. Wielkie postacie jego twórczości: Makbet, Hamlet i Otello mogą służyć za wzór oddaniem trzech zasadniczych typów świata kryminalnego. Makbet jest zbrodniarzem urodzonym, posiadającym wszystkie jego piętna, Hamlet przedstawia typ obłąkańca zmysłu moralnego, niezupełnie rozwinięty; wreszcie Otello jest przewybornym okazem przestępcy z namiętności, zdolnym do najwznioślejszych uczuć, ale niemogącym utrzymać na wodzy zemsty i nienawiści. Jedynie Dostojewski dorównał z pośród późniejszych artystów pióra Shakespeare'owi, inni nie zdołali dosięgnąć poziomu dramaturga angielskiego. Zola przedstawia w szacie beletrystycznej tylko wyniki wiedzy: za źródło typów zbrodniczych służą mu nie własne spostrzeżenia nad życiem, nagromadzone żywiołowo w jego mózgu i ulegające późniejszej sformułowaniu podczas okresu twórczego, lecz książki, napisane przez kryminologów. Jest tam wiedza, ale nie typy realne, i wyprowadzone postacie, pomimo pozornego naturalizmu, są dalekie od prawdy. Ferri potępia zwłaszcza Bourgeta, traktując go pogardliwie, jako najpospolitszego frazeologa, który rzeczywistość zastąpił tworami własnej wyobraźni, niezdolnej do oddania rysów świata rzeczywistego. Zdaniem badacza włoskiego, o ile chodzi o tę stronę twórczości, jest to umysł wprost mierny, mający w pogotowiu morały i rozmyślania, lecz ślizgający się tylko po powierzchni obyczajów życia duchowego i społecznego.

Nie będziemy wdawali się w dalsze przedstawienie wywodów kryminologa włoskiego. Zaznaczymy tylko jego stosunek do książki M. Nordaua o zwyrodnieniu, która w swoim czasie narobiła tyle wrzawy i zyskała tak niezasłużony rozgłos. Nordau nowsze kierunki literackie, niesympatyczne dla siebie, miesza z błotem i Beaudelaire'ów, Verlaine'ów, Ibsenów traktuje jako obłąkańców. Ferri z oburzeniem odzywa się o takiem postępowaniu. Klika symbolistów i dekadentów, ludzi bez talentu lecz z wygórowaną ambicyą, przedstawia liczne znamiona zwyrodnienia i zbrodnictwa, ale niepodobna w ten sposób odzywać się o wielkich przodownikach nowych kierunków. Wprawdzie i oni, jak często bywa z geniuszem, nie zawsze są ludźmi normalnymi, ale ich wybryki są całą przepaścią oddzielone od świata zbrodniczego i obłąkanego, o czem Nordau zupełnie zapomina.

A.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

GIORDANO BRUNO.

Domenico Berti: *Documenti intorno a G. Bruno.* — Marc Monnier: *Giordano Bruno.* — Plumtice: *Life and Works of G. Bruno.*

Życie wielkich ludzi tak ściśle związane jest z rozwojem społecznym, wywiera wpływy tak potężne i odległe, iż pamięć o nich po upływie setek lat nie ginie, a sądy są wciąż stronnicze i zapalczywe, jak o działaczach współczesnych.

Upłynęło już blizko trzysta lat, jak Giordano Bruno spalony został w Rzymie na Campo Fiori. Obecnie na placu tym stanął jego pomnik, a koło osoby filozofa toczą się zażarte i namiętne spory. Są ludzie uważający pomnik ten za policzek wymierzony prawdzie i moralności, a samego Brunona za osobistość najgorszego prowadzenia. Inni wynoszą go pod niebiosy, uważając za świętego i bohatera.

Właściwie jednak mówiąc, nie mamy dotychczas żadnej, chociażby mniej więcej dokładnej skali dla mierzenia tego rodzaju mężów, ich zasługi i wpływów moralnych lub niemoralnych. Są to zjawiska tak skomplikowane, iż mimowoli przychodzi na myśl zapytanie Piłata w podobnym wypadku: „Co to jest prawda?" Przyjrzyjmy się życiu Brunona na zasadzie wiarogodnych materyałów, zebranych przez Bertiego. Urodził się w Noli o dwanaście mil od Neapolu w r. 1548. W stolicy Sycylii studyował logikę, filozofię i literaturę. W piętnastym roku życia przywdział suknię św. Dominika i do r. 1576 pozostawał w różnych klasztorach tego zakonu. Podczas pobytu w Neapolu miał dwa procesy, spowodowane wolnomyślnością: raz gdy nie przyjął wizerunków świętych, przyznając krzyż za jedyną świętość i drugi raz, gdy odradzał młodemu nowicyuszowi czytania błahych książek w rodzaju „Siedmiu radości". Dowodzi to pewnej odwagi umysłowej, ale niczego więcej. Być może, iż znajdował się pod niejakim wpływem heretyka Pomponio Algieri, który w tych czasach spalony został za poglądy wolnomyślne.

W r. 1576 porzucił habit dominikański i udał się do Noli, gdzie wykładał gramatykę i astronomię. Wolno przypuszczać, iż w lekcyach swych trzymał się systemu Kopernika. Po krótkim jednak czasie porzucił swe miasto rodzinne i od tej chwili rozpoczyna się jego błędna wędrówka z miasta do miasta, z kraju do kraju. Gdy głód mu nazbyt dokuczył, wkładał czasowo habit dominikański, żeby zdobyć w ten sposób obiad i nocleg.

Obszedłszy główne miasta Italii północnej, udał się wreszcie do Genewy.

Cel i przyczyna tego pobytu w stolicy kalwinizmu dotychczas nie są dokładnie wyjaśnione. Oto w jaki sposób Bruno tłomaczył je Inkwizycyi, która uważała podróż tę za jeden z głównych jego grzechów:

„Udałem się do Genewy i tam zamieszkałem w hotelu. Po pewnym czasie margrabia Vico, Neapolitańczyk, który mieszkał w tem mieście, zapytywał mnie, czym przybył, żeby wyznawać religię tego kraju. Odrzekłem, iż nie mam zamiaru wyznawać tej religii, gdyż jej nie znam i że chciałem zostać, aby żyć na wolności

i w spokoju Radził mi rzucić na wszelki wypadek habit dominikański, który nosiłem. Włożyłem więc inną odzież. Margrabia i inni Włosi dali mi szpadę, kapelusz i różne części ubrania. Wyszukali mi miejsce korektora w drukarni, żobym miał z czego żyć. Praca ta zajmowała mnie blisko dwa miesiące. Chodziłem czasami do kościoła na kazanie, bądź do Francuzów, bądź do Włochów, którzy uczyli w tem mieście. Wreszcie oświadczono mi, iż nie mogę dłużej pozostawać, jeżeli nie zdecyduję się na przyjęcie tamtejszej wiary. Wówczas postanowiłem wyjechać i udałem się do Lyonu".

Wyznania te nie są prawdziwe. Bruno nie przyznał się, broniąc swej głowy wobec Inkwizycyi, iż był profesorem teologii w Akademii genewskiej. Fakt ten został dowiedziony ostatnimi czasy badaniem dokumentów, zachowanych w tem mieście. Otóż żeby wstąpić do Akademii genewskiej, należało podpisać wyznanie wiary, należało być pretenstantem. W mieście tem długo jednak się nie utrzymał, gdyż będąc temperamentu nader wojowniczego, napisał przeciw jednemu z profesorów broszurę, która uznana była za oszczerczą. Miał z tego powodu wiele nieprzyjemności, musiał odwołać broszurę i opuścić Genowę.

Udał się do Tuluzy, która wówczas znajdowała się w rękach Inkwizycyi, i w mieście tem wykładał filozofię w ciągu dwu lat. Widocznie jego odstępstwo kalwinistyczne nie było tam znane, gdyż byłby je przypłacił głową. Uniwersytet tuluski był wtedy nadzwyczaj słynny, liczył blisko dziesięć tysięcy studentów. I w tem jednak mieście Bruno wszczął dyskusye charakteru drażliwego, które zmusiły go do opuszczenia katedry i udania się do Paryża. Stawił się u dworu Henryka III, który popierał nauki. Bruno poświęcił mu swą książkę „De umbris idearum", opatrzoną w przedmowę o pochlebstwach — dzięki tej okoliczności zdobył możność wykładania w Paryżu. Ofiarowano mu nawet tytuł „profesora zwyczajnego," nie przyjął go jednak. Był więc profesorem nadzwyczajnym, ale i tu nie zagrzał miejsca. Niespokojna natura ciągnęła go do Londynu, dokąd udał się w r. 1583. Zaczął wynosić pod niebiosy Elżbietę z emfazą jeszcze większą, niż ta, której użył względem Henryka III. Był bardzo dobrze przyjęty na dworze Elżbiety. Znalazł światłe towarzystwo w osobach pisarzów i myślicieli ówczesnych Sidneya, Spensera, Herveya, Dyera i innych. Nieprzyjaciele twierdzili, iż w towarzystwie tem oddawał się rozpuście, ale to uważać można za zwykłą potwarz.

Zdobył wkrótce prawo wykładania w Oksfordzie, gdzie uczył o nieśmiertelności duszy w znaczeniu panteistycznem. Nie miał jednak powodzenia, gdyż w uniwersytetach angielskich scholastyka panowała jeszcze wówczas wszechwładnie. Bruno skarży się na profesorów, którzy czynią wrażenie poganiaczy wołów, na lud grubiański i brutalny, na studentów pijaków.

Po dwuletnim pobycie w Anglii wrócił do Paryża i tu rozpoczął otwartą walkę przeciw Arystotelesowi, co w owych czasach było zuchwalstwem niesłychanem. Tłomaczył się zręcznie tem, iż Arystoteles więcej otrzymał od Akademii paryskiej, niż jej dał, iż należy pozwolić każdemu myśleć i mówić swobodnie. Trzymajmy się rozumu, nie ufajmy naszym wierzeniom: rozpocznijmy od zwątpienia, aby szczerze bronić swej sprawy. Niema żadnej doktryny starożytnej, którąby w swoim czasie nie była nową. Jeżeli zaś wiek jedynie ma racyę, to bliżsi jesteśmy prawdy, niż Arystoteles: mamy za sobą dwadzieścia wieków więcej od niego.

W ten sposób Bruno bronił swej śmiałości, nie miał jednak w Paryżu więcej powodzenia, niż w Londynie, zresztą był to czas wojny i filozofią nikt się nie zajmował. Dlatego też w r. 1586 Bruno przeniósł się do Niemiec, najprzód do Moguncyi, następnie do Marburga. Tu odmówiono mu prawo wykładania w uniwersytecie dla „ważnych powodów", które nie są znane. Udał się więc do Wirtembergii, ogniska luteranizmu. Przyjęto go bardzo dobrze, jak o tem sądzić możemy z mowy pożegnalnej którą wygłosił dwa lata później, gdy i to miasto opuszczał.

„Nie pytaliście się o mą wiarę, której nie podzielacie. Pozwoliliście mi być także przyjacielem mądrości i kochankiem muz. Nie stawialiście przeszkód, gdym wykładał poglądy przeciwne waszym naukom. Nie jesteście filozofami; wasza głęboka nabożność każe wam przenosić fizykę i matematykę z dobrych dawnych czasów; a jednak słuchaliście mnie bez gniewu. Znalazłem śród was w mem wygnaniu nową ojczyznę; odepchnęliście potwarze, skierowane przeciw mnie w ciągu dwu lat mego pobytu." Bruno chwali następnie Alberta Wielkiego, „niezrównanego Kopernika" i Lutra, „który obalił potwora okropniejszego, niż wszystkie hydry dawnych czasów." Wyznanie to nie jest jednak bynajmniej, jak to widzimy, przyznaniem się do luteranizmu. Był to umysł zbyt obszerny, aby mógł pomieścić się w jakiejkolwiekbądź sekcie.

Duch niespokojny, a po części i głód, wypędził go z Wirtembergii i zaprowadził do Pragi. Cesarz osypał go podarunkami, ale do katedry nie dopuścił. W Brunświku, dokąd następnie się udał, został wyklęty przez kler nietylko katolicki, ale i luterański. Po roku walki musiał opuścić uniwersytet. W 1590 znajdujemy go we Frankfurcie, mieście, które na owe czasy odznaczało się wielką tolerancyą. Tu wydał trzy główne swe dzieła filozoficzne i nurtowany tęsknotą za krajem, wrócił do Włoch. Trudno zrozumieć, jak mógł odważyć się na krok tak nieopatrzny: widocznie uważał, iż sława europejska dostatecznie chronić go będzie przed uroszczeniami Inkwizycyi. Ale się omylił.

Znalazł ucznia w osobie Jana Mocenigo, szlachcica żądnego wiedzy, który jednak czy to nie mógł strawić myśli radykalnych filozofa, czy też był urażony przezeń w miłości własnej, dość że go zadenuncyował przed trybunałem Inkwizycyi. Filozof został aresztowany i osadzony w więzieniu. Wkrótce potem stanął przed sądem. Opowiedział swe życie, wyłożył swój system filozoficzny. Na zapytanie, jak ten ostatni się godzi z religią, odpowiedział, iż są to dwie rzeczy różne. Wogóle był tu potulny, wyraził życzenie powrotu na łono kościoła, chciał stanąć przed papieżem z nowem swem dziełem, które miał mu przypisać: spodziewał się widocznie, iż w ten sposób wyjdzie cało ze sprawy. Z drugiej strony Rzym także gwałtownie go się domagał i w r. 1593 Bruno został wydany. W więzieniu stołecznem przetrzymano go siedem lat. Tu, po pewnym okresie wahań, gdy nawet obiecywał odwołanie swych teoryj, obrał drogę otwartej ich obrony. Za to skazany został na spalenie.

Oto w jaki sposób jeden z współczesnych opisuje ceremonię odczytania wyroku:

„Dnia 9 lutego 1600 r. Bruno zaprowadzony został do pałacu wielkiego inkwizytora. Tu w obecności kardynałów, teologów i wyższych urzędników cywilnych wysłuchał wyroku klęcząc. W wyroku tym opowiedziano jego życie, nauki i doktryny, starania inkwizycyi dla braterskiego nawrócenia go, upór i bezbożność, które wykazał. Następnie pozbawiono go rangi, wyklęto i oddano urzędowi świeckiemu, zalecając, aby był ukarany z wszelką możliwą łaską i bez krwi rozlewu (tj. spaleniem). Na to Bruno odrzekł z wyrazem groźby: „Być może, iż wypowiadacie swój wyrok z większym strachem, niż ja go słucham." Wówczas odprowadzony został do więzienia przez straż i tam przetrzymany jeszcze osiem dni w nadziei, iż odwoła swe błędy. Ale naprożno. Zaprowadzono go więc na stos. Gdy mu ofiarowano wizerunek Zbawiciela, odepchnął go z wstrętem. Zginął haniebnie upieczony."

Należy przyznać, że jeżeli za życia się wahał, umiał umrzeć z godnością w myśl własnej zasady: „Umrzyj dobrze w swoim wieku, a żyć będziesz w następnych!"

Takie było jego życie. Mierzone tą skalą, którą tłum wytworzył i która w zastosowaniu do tłumu jest odpowiednią i konieczną, dałoby raczej wynik ujemny, zwłaszcza jeżeli zestawimy giętkość Brunona ze świadectwami sceptycyzmu moralnego, rozrzuconemi w jego komedyach.

W jednej z nich, „Candelaio," czytamy: „Honor nie jest niczem innem, jak opinią, reputacyą; jest więc nietkniętym, dopóki opinia i reputacya się utrzymują. Honor jest to dobra opinia, którą inni o nas mają; póki ona trwa, on trwa również. Nie to, czem jesteśmy i co robimy, czyni nas honorowymi lub niehonorowymi, lecz to, co inni o nas mniemają i sądzą."

Widocznie Bruno badał mechanikę moralną, tak samo, jak badał mechanikę obrotu gwiazd: prawom w ten sposób wykrytym nie chciał się poddawać, lecz owszem nad niemi panować. W taki sposób objaśnia się jego giętkość, która jest wstrętną, gdy dochodzi do udawania kalwinizmu, żeby korzystać ze środków kalwinistów i do napuszonych pochlebstw dla wielkich panów — z których w duszy pewno się śmiał — dla zdobycia ich protekcyi. Ale czy nasz wstręt dowodzi czegokolwiek? Czyż między Brunonem a jego otoczeniem ówczesnem i potomnem nie istnieje różnica dwóch odrębnych gatunków antropologicznych? A w takim razie wszelkie sądy tego otoczenia nie mają żadnego sensu i są zwykły gwałtem, czy wyrażać się będą w paleniu na stosach, czy też w słowach mniej więcej żywych. Etyka jest siłą zmienną, jak każda inna: porównajmy ją u Eskimów, Australczyków, Azyatów i w Europie. Stosowanie jej może być zbawienne w pewnych warunkach, jeżeli nie przekracza granic danego gatunku, albo też, w przeciwnym razie, zgubnem dla postępu antropologicznego. Dlatego też należy pod tym względem zachowywać odpowiednią miarę.

Prawdę tę, która obecnie w nauce uważana jest za elementarną, przeczuwali poniekąd nawet sami inkwizytorowie Wenecyi. Trzej z pomiędzy nich wysłani zostali niegdyś do Padwy dla zaprowadzenia porządku w tamtejszym uniwersytecie. Tu ojciec Berlinzona oskarżał Galileusza na zebraniu publicznem, iż ma trzy kochanki: jedną w Padwie, drugą w Gambarara i trzecią w Wenecyi. Wezwany do odpowiedzi, Galileusz rzekł, nie obwijając w bawełnę, iż ma potrzeby i że sposób zaspakajania tych potrzeb, jako sprawa prywatna, nikogo obchodzić nie powinien. Po tem wyznaniu trzej ojcowie, stanowiący trybunał, oddalili się na konferencyę i, powróciwszy, orzekli za pośrednictwem prezydenta, iż ze względu na niedostateczność środków oskarżonego, rzeczpospolita podwaja jego pensyę, prosząc, aby jej dobrze używał w zaspokajaniu swych potrzeb.

Niestety, trybunał św. Marka nie był tak wyrozumiały, gdy rozpoznawał sprawę Brunona i nic dziwnego: tu szło o jego byt i chleb, gdyż filozof w jednej ze swych komedyj, „Wypędzenie bestyi tryumfującej," obrał za przedmiot śmiechu kler.

Bruno nie nadaje się do skali tłumu nietylko ujemną swą stroną, ale i doda-

tnią: bo któryż to członek społeczeństwa wolałby zginąć na stosie raczej, niż odwołać teoryę filozoficzną? Jeżeli dodamy, iż człowiek ten wywarł wpływ potężny na rozwój myśli wolnej, iż Descartes, Spinoza, Leibnitz, Goethe i Schelling zawdzięczają mu w znacznym stopniu swe systemy, że tą drogą wpłynął pośrednio na postęp nauki i że wpływ ten jeszcze wyczerpany nie został, to zrozumiemy, iż nie istnieje dotychczas trybunał kompetentny dla sądzenia Brunona. Ponieważ wpływy te rozpostarły się na ludzkość całą, trybunałem tym może być tylko nauka społeczna, gdy ostatecznie ustanowiona zostanie. Ona zapewne potrafi wymierzyć doniosłość wpływów dodatnich i szkodliwych filozofa — również jak i innych geniuszów — dla ludzkości i orzec, jaką była jego wartość moralna. Czy złoto było pożytecznem, czy szkodliwem dla ludzkości? Na tak proste stosunkowo pytanie trudno dać odpowiedź. Czemże więc mierzyć będziemy doniosłość działaczów ogólno-ludzkich lub narodowych, jak Bruno, Bacon, Heine lub Mickiewicz — ponieważ i on ostatnimi czasy był zakwestyonowany? Ci ludzie należą nie do naszego sądu, który jest sądem mrówek, znajdujących się u stóp Montblancu, o wysokości tej góry, lecz do sądu Historyi, pojętej jako nauki, tj. Socyologii.

Dr. L. W.

POEZYE

Pieśń o wietrze.

O, gdybym miał wiatru potęgę i tchnienie,
Wnet życia ja zmieniłbym tło:
Rozrzuciłbym wszędy miłości nasienie
Z korzeniem wyrwałbym zło,

I góry przesądów obalałbym w drodze —
Wzrok łotrom zasypałby kurz —
I harde te dęby uginałbym srodze
I pieściłbym listki tych róż,

I szlochałbym z wierzbą nad wieszcza mogiłą,
Toń morską skrzydłami bym bił,
I głazy bym wstrząsał nadaną mi siłą
I groźnie w pomroce bym wył.

Kołysałbym do snu zgrzybiałe topole,
Z listkami akacyi się śmiał,
I dzwoniłbym dumkę wybiegłszy na pole—
O, gdybym moc wiatru ja miał!

Wąwóz.

Czy to wąwóz, czy to cmentarz z liści,
Co u moich tu się ciągnie stóp?
Widzę milion zeschłych, żółtych trupów,
Stu pokoleń widzę wspólny grób!

Ciał głęboki, zwilgotniały pokład:
Zmiótł je w dół ten grabarz—wiatru wiew...
Niegdyś wszystko to zielonem było —
Powiewało na wierzchołkach drzew!

Z drzewa złudzeń rozczarowań jesień
Zrywa wiary i miłości liść —
Zwiędły gdzieś się na dnie serca skupia...
Dość porównań!! .
Trzeba naprzód iść!

Analiza.

Ach, ta myśl, ach zbójecka ta myśl!
W każdą duszy szczelinę się wgryza,
Choć najgłębszy ogarnia mnie szał,
Czuję ją — ona tuż — analiza!

Często miłość, nienawiść lub gniew
Gorącemi strofami ja kreślę —
Ale własny nie wzrusza mnie śpiew
Nawet sercem, ach sercem ja myślę!

Leo-Belmont.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRAKTYKANCI WIEJSCY.

P. A. Hempel na posiedzeniu sekcyi rolnej w osobnym odczycie poruszył bardzo doniosłą, zaniedbaną i przez wielu lekceważoną sprawę praktykantów rolnych. Mówca wychodzi z tego stanowiska, że ważnym czynnikiem ekonomicznym w racyonalnym rozwoju przemysłu rolnego powinny być siły fachowe. W kraju naszym, jak wiadomo, brak takich sił dotkliwie daje się odczuwać we wszystkich działach produkcyi rolnej i w gospodarstwach wszelkiego rodzaju. Ziemianie idą po omacku, o czem już nieraz mieliśmy sposobność mówić. Wiedzę specyalną i rzetelną można zdobyć tylko za granicą, bardzo kosztownie. Udają się więc tam właściciele zamożniejsi i w wyjątkowych razach nie-właściciele. Ci ostatni nie mogą tej wiedzy, kosztownie zdobytej, sprzedawać tanio, nie mogą więc zajmować stanowisk podrzędnych, a nawet sterniczych w gospodarstwach średnich. Szukają tedy posad po za granicami Królestwa, w latyfundyach, których jest coraz mniej. Większość gospodarstw rolnych, pozostających w posiadaniu ludzi, którzy całą wiedzę specyalną zdobyli z praktyki własnej i wskazówek swoich ojców, musi powierzać kierunek pracownikom, również w ten sam sposób ukształconym. Taki stan rzeczy nie może dać pracy produkcyjnej, nie może stworzyć gospodarstw intenzywnych. Muszą być omyłki bardzo dotkliwe, musi się wytwarzać nieufność i rozgoryczenie wzajemne zarobkodawców i pracowników. Muszą wreszcie oni wchodzić sobie w drogę. Stosunek staje się bardzo przykrym, a nieufność ziemian, niestety, często słuszna sięga aż do dziedziny moralnej pracowników. Właściciele ziemscy mają nieraz powód wyrzekać na niesumienność i nieuczciwość pewnej kategoryi swych oficyalistów, ale nie mają powodu ani prawa w czambuł potępiać wszystkich. Faktem atoli jest, że niski poziom umysłowy oficyalistów, brak wiedzy fachowej, zarówno śród właścicieli, jak i ich pracowników, jest jednym z głównych powodów upadku ekonomicznego własności ziemskiej i — nędzy w warstwach zarobkujących na roli. Wymagania umysłowe, ekonomiczne i techniczne rosną, a tymczasem pod względem szkolnictwa agronomicznego od lat 30 prawie ani o krok nie postąpiliśmy. Właściwie nie mamy szkół wyższych, średnich, a nawet niższych. Ani Instytut rolniczo-leśny w Nowej Aleksandryi, ani szkoła sobieszyńska nie odpowiadają potrzebom kraju. Zabiegi prywatne w tej mierze przy najlepszych chęciach nic zdziałać nie mogą, bez pomocy państwowej. To jest przyczyna, dla której większość gospodarstw jest kierowana w sposób najróżnorodniejszy, nawet na przestrzeni kraju jednolitej pod względem warunków geograficznych, ekonomicznych i kulturalnych. Utrudnia to łączność materyalną i specyalizacyę w pewnych gałęziach produkcyi.

P. Hempel dobrze ocenił smutny stan rzeczy i słusznie zalecił, ażeby sekcya rolna zechciała tę sprawę włączyć do swych obowiązków najpilniejszych. Oto, jakie są wnioski prelegenta: Radzi on stworzyć praktykę rzetelną w gospodarstwach wzorowych. Każdy praktykant powinien być przez pewien czas prostym robotnikiem, ażeby umiał ocenić pracę, cudzą i potrafił kierować nią właściwie. Gospodarstwa włościańskie w ogólnym rozwoju rolnictwa powinny odegrać niepoślednią rolę. Dziś w znacznej większości stoją one na poziomie pierwotnym, są nędzne i nieprodukcyjne, z braku nauki fachowej i wskazówek; więc i dla włościan praktyka gospodarska jest niezbędna, ale z zastowaniem metod właściwych. Chłop nasz, z natury zachowawczy, silnie przyrasta do ziemi stron rodzinnych i trzeba jakichś silnych podniet, coś w rodzaju naganiania do wychodźctwa, lub wstrząśnień ekonomicznych, popychających do szukania zarobków daleko, ażeby go wyrwać z tej ziemi. Otóż chłop nasz powinien szukać wzorów na miejscu, ażeby mógł łatwo je zastosować u siebie. Dla tego pożądana byłaby praktyka na pobliskich folwarkach wzorowych, gdzie pod względem geograficznym i topograficznym warunki są pokrewne z jego wsią. Praktyka włościańska byłaby jednak niedostateczną, gdyby nie przyjęto tej metody, jaką zaleca prezes sekcyi, p. T. Kowalski: stworzyć wzory gospodarstwa racyonalnego na gruncie chłopskim. Wiemy, iż wzory takie ze świetnem powodzeniem zastosowywano niejednokrotnie gdzieindziej.

Sprawę stworzenia praktyki gospodarczej, poruszoną gorąco przez p. Hempla, przekazano osobnej delegacyi. Oby tylko ona zechciała szczerze i niezwłocznie wziąć się do dzieła! Co do praktykowania ludzi inteligentnych w roli prostych robotników, musimy jedną uwagę dorzucić. Niech taka praktyka nie będzie wzorowana na metodach sławnego Engelhardta z Białej Rusi, który stworzył coś w rodzaju wychowania spartańskiego, z tą różnicą, że marnował siły, zużywał niepotrzebnie energię i zdolności ludzi rozwiniętych umysłowo, zniechęcał ich i narażał na poniewierkę moralną. Nie trzeba zapominać, że dla człowieka inteligentnego wystarczy jeden dzień na to, na co ciemny musi pół roku zużyć. Mamy wymowne przykłady w wojsku: jak się mozoli chłop prosty nad zrozumieniem tych wskazówek, które człowiek oświecony w jednej chwili ogarnia i przyswaja. Czy trzeba koniecznie rok kosić lub orać własnemi rękami, ażeby potrafić następnie zarządzać orką i kośbą? Czy trzeba sypiać w izbach czeladzi i jadać z jej misy, ażeby zrozumieć, że te izby nie zawsze są hygieniczne, a rodzaj jadła nie zawsze daje sumę energii, odpowiednią do natężenia pracy?

Zen. Piet.

PRASA POLSKA.

Nareszcie rozważniejsze i dla kuglarzy publicznego słowa surowsze organy naszej prasy wzięły się do tych panów, którzy z wrzaskiem i bezczelnością sprzedają społeczeństwu swoje bańki mydlane za wielkie perły. Od czasu do czasu bardzo rozumnie przetrzepuje ich p. Post w *Gazecie Polskiej*:

„Zaczyna mnie bawić to znaczące mruganie na publiczność ze strony uprawiaczy polityki sezonowej. Ciągle niby mają nam coś do powiedzenia, coś nawet bardzo ważnego i głęboko pomyślanego, ale zamiast raz już nareszcie wydobyć z siebie te wielkie tajemnice, wolą pozostawiać je w dalszym ciągu naszej wyobraźni, podsycając ją tylko od czasu do czasu dużo obiecującymi aforyzmami.

Ciekawy jestem, jak długo jeszcze podobać się będzie tym panom rola działaczów, o których zbawiennej czynności ogół nie ma najmniejszego pojęcia; natchnionych, choć niepowołanych dobrodziejów społeczeństwa, które o nic ich nie prosiło i za nic nie dziękuje; wreszcie—rola nawet do pewnego stopnia męczenników cierpiących odważnie „przyczepki, insynuacye i pociski" dla dobra ogółu? Bądź co bądź, wytrwa-

li są niewątpliwie—zachodzi jedno pytanie, czy warto z tak niezachwianą stałością charakteru młócić i młócić wciąż słomę? Bo przecież w całej tej frazeologii „o innych zadaniach", „o zalecanych rodakom środkach i krokach", o potrzebie „robienia polityki" *quand mame*—nie znajdzie się ani jedno pożywne ziarno, chociażby go kto chciał szukać ze świecą w dzień biały. Polityki—zwłaszcza jakiejś nowej polityki — nie można sfabrykować na poczekaniu; ona rodzi się i wzrasta na gruncie rzeczywistych sił, pozytywnych faktów, odpowiednich okoliczności—czego tu brak najzupełniejszy. I dobrym politykiem także nie może zostać każdy, komu przyjdzie myśl płocha „robienia" jej dla próby, na własną rękę. Do tego trzeba mieć wiele, bardzo wiele przymiotów niezwykłych—które tu również świecą nieobecnością. Prawić zaś nieustannie, a w kółko, o swoich zamiarach, których wagi zaledwie domyślać się wolno, o robotach, których plonu nikt z żyjących na świecie nie oglądał dotychczas i zapewne nigdy nie ujrzy— bo *ex nihilo nihil* —doprawdy, to w końcu sprzykrzyćby się rozsądnym ludziom powinno.

Polepszenia warunków bytu i rozwoju w kraju naszym pragniemy wszyscy, nie jest to ani owocem specyalnej „zasługi", ani programem, ani monopolem, więc byłoby stratą czasu mówić o tem, jako o kwestyi wymagającej szczególnego porozumienia. Skoro się chce uchodzić za nowatora politycznego, trzeba strzedz się ogólników. Jeśli w imię nowych zasad porusza się ludzi spokojnych, to nie dlatego tylko, aby im zalecać—spokój. Jeśli ludziom pracowitym i żądnym pracy narzuca się kierowników, to pretensyi tej nic może usprawiedliwiać gołosłowne upomnienie, „aby nie czekali z założonemi rękami, aż kto inny kasztany dla nich z ognia wyjmie". To są frazesy jałowe, frazesy, co gorsza, wytwarzające szkodliwy zamęt w umysłach łatwowiernych, którym się powiada, że mają odtąd koniecznie inną iść drogą, a nie tłomaczy się wyraźnie, w czem ta nowa droga różni się od dawnej, którą szli jeszcze wczoraj i przed kilku miesiącami i od szeregu lat spędzonych w cierpliwości i ciszy. Nie ogólników przeto, ale ogólnie zrozumiałych drogowskazów powinniby dostarczać kandydaci na mis trzów przyszłym swoim wyznawcom."

W DALI.

Lublin. *Gazeta Lubelska*, cytując artykuł *Prawdy* p. t. „Z pustego w próżne," dodaje od siebie następujące uwagi: „Od niedawna w prasie naszej odgłosy pism rosyjskich uzyskały prawa obywatelstwa. Zapełniają one całe szpalty dzienników i wywołują niekiedy żywsze dyskusye. Niektóre nawet nasze pisma chcą uważać te opinie organów petersburskich lub moskiewskich za doniosłe objawy polityczne. Jeżeli zdarzy się np., że która z gazet rosyjskich napisze o stosunkach polskich artykuł wyjątkowo trochę dla nas życzliwszy, wnet ci i owi dziennikarze spieszą oznajmić uroczyście swoim czytelnikom ten ważny wypadek, na którym lotniejsze wyobraźnie mogą już następnie budować, według upodobań, różne zamki na lodzie. Przeciwnie, ilekroć p. Gringmut, czy p. Komarow, czy też jaki inny publicysta z Moskwy lub z nad Newy da folgę swoim popędom rusyfikacyjnym, wnet wrażliwsze pisma polskie zaczynają się uzbrajać przeciw napastnikowi, jak gdyby w istocie miały powód obawiać się jakiegoś niebezpieczeństwa."

Mińsk. Nowa instytucya, Towarzystwo kredytowe miejskie, rozwija się dość pomyślnie. Na pierwsze jego potrzeby miasto wyznaczyło rs. 50,000, tytułem pożyczki. Na czele instytucyi stoją pp.: Karol hr. Czapski, Witold Janowski i Karaffa Korbutt. Kredyt udziela się na zastaw nieruchomości, których wartość minimalna wynosi 400 rs. Towarzystwo płaci po 4½% od swych obligacyj i pobiera tyleż od dłużników. Przewyżka procentów, płaconych przez tych ostatnich, idzie na amortyzacyę i utrzymanie zarządu. Pożyczki są dwojakie: na zastaw domów drewnianych wydawane są na lat 20 i miesięcy 8; na zastaw zaś kamienic, a także ogrodów i placów niezabudowanych na lat 37 i 8 miesięcy. Od pożyczek, należących do pierwszej kategoryi, Towarzystwo, oprócz wyżej zaznaczonych 4½%, pobiera jeszcze 3% na amortyzacyę i ¾% na utrzymanie zarządu i wydatki kancelaryjne, co łącznie stanowi 8¼%. Od pożyczek drugiej kategoryi pobiera się tylko 1% na amortyzacyę i ¾% na rzecz zarządu, czyli łącznie 6¼%. Suma ogólna udzielonego już przez Towarzystwo kredytu wynosi około 800,000 rs. — Niższa szkoła rolnicza w Maryen-Gorce (gub. Mińska) podaje do wiadomości, iż przyjmować będzie, oprócz stałych uczniów (pochodzących przeważnie z włościan), tak zwanych praktykantów, których zobowiązuje się uczyć bezpłatnie Początkowo cyfra ich nie może przewyższać 10. Nauka praktyczna będzie udzielana w pięciu następujących działach: a) gospodarstwo polne i ogrodnictwo, na co przeznacza się sezon cały od kwietnia do października; b) wyrób masła (kurs nauki obejmuje jeden miesiąc): c) wyrób i przygotowanie lnu (2—3) miesięcy letnich; d) wyrób serów (kurs najmniej roczny) i e) hodowla bydła (po dwa miesiące na wiosnę i w jesieni).

Odesa. D. 24-go b. m. w Odesie odbyło się zebranie inauguracyjne członków Towarzystwa esperantystów, filii petersburskiego Towarzystwa „Espero." Na prezesa wybrany został dr. Filipowicz. W zebraniu wzięło udział około 50 osób, w tej liczbie kilka kobiet. P. Arnold mówił o celach i zadaniu języka międzynarodowego, następnie p. Pergament dał rys historyczny usiłowań stworzenia takiego języka, wreszcie p. Gervet mówił o języku *esperanto* i jego zaletach.—Według sprawozdań rynku odeskiego, na Podolu i Ukrainie buraki dały urodzaj średni, w niektórych zaś okolicach mniej niż średni, przyczyną jest podobno to, że fabryki nie dają nasienia świeżego, lecz kilkoletnie. — Wkrótce otwarta będzie wystawa obrazów religijnych. Dochód ma być przeznaczony na budowę nowego kościoła.

KRONIKA.

Dla kogo? O ile pisma nasze z zabawną miną wielkich artystów lub wstrętną krętaczów wyrabiają nowe drogowskazy życia, którymi nikt się nie kieruje — można im w najlepszym razie podarować w nagrodę czapeczkę z dzwonkami; o ile wszakże z uczęszczanej przez wszystkich drogi starają się uprzątać rozmaite zawady, wyświadczają ogółowi rzeczywiste usługi. Świeżo sprawozdawca muzyczny w *Wieku* wystąpił przeciwko zachowywanemu dotąd zwyczajowi, czy obowiązkowi aktorów polskich śpiewania w operze warszawskiej po włosku. Rzeczywiście opera ma swoje przywileje wykraczania daleko po za granice prawdopodobieństwa, ale nawet ona ma pewne kresy dowolności, w których nie mieści się możliwość splatania czułych, wesołych lub dramatycznych scen z dwu języków. Pomijając wszakże ten wzgląd, autor sprawozdań *Wieku* pyta: dla kogo właściwie utrzymywana jest ta operowa włoszczyzna, jeśli zwykle w teatrze znajduje się najwyżej kilka osób, które ją rozumieją i które wcale tej przyjemności dla siebie nie wymagają? Należy więc ją usunąć, skoro ona nie ma żadnej innej podstawy, prócz lekceważenia języka miejscowego.

Pomnik Fredry. Pięknym kwiatem na spróchniałem drzewie starych rodów był Al. br. Fredro. Piękny z tego kwiatu dojrzał owoc dla literatury, która nim długo żyć będzie i nie prędko lepszych się doczeka. Koniecznym też obowiązkiem wdzięczności i głęboką potrzebą serca jego rodaków było uczczenie pomnikiem wielkiego „ojca komedyi polskiej." Spełnili tę powinność Lwowianie, którzy zebrawszy kilkanaście tysięcy złr. i wybrawszy drogą konkursu pomysł p. Marconiego, powierzyli mu wykonanie go w bronzie. Prace rzeźbiarsko-odlewnicze trwały lat sześć. Zeszłego tygodnia pomnik został uroczyście odsłonięty na jednym z placów lwowskich. Przedstawia on Fredrę siedzącego na krześle, z którego zwiesza się udrapowany płaszcz. Starannie wymodelowana głowa wyraża wiernie poważne i ujmujące rysy autora „Ślubów panieńskich." Czcimy go stale, ale przy sposobności tego dowodu pamięci o nim powtórzmy, że czcimy go szczerze.

Wiadomości społeczne. Osobna delegacya przy sekcyi handlowej znowu poruszyła sprawę wypoczynku niedzielnego. Po naradach przyszła ona do przekonania, że sprawę tę można załatwić tylko na drodze prawodawczej.

Szkoły. Według świeżo zapadłego postanowienia ministeryum oświaty, ograniczenia względem Żydów, wstępujących do gimnazyów, nie dotyczą tych, którzy po ukończeniu czterech lub sześciu klas progimnazyów, zapisują się do innych szkół średnich, ażeby następnie mieć możność ukończenia wyższych.

— Ministeryum oświaty roztrząsa projekt zmniejszenia ilości przedmiotów w programie egzaminów ostatecznych dla słuchaczów wydziałów prawnych w uniwersytatach.

— Dnia 1 listopada będzie otwarta w Warszawie szkoła malarzy pokojowych.

— W końcu listopada ministeryum oświaty wyśle do Warszawy i Odesy biegłych, ażeby zbadali na miejscu, w jaki sposób mogą tam być utworzone politechniki.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych przysłało warszawskiej władzy policyjnej uchwały zjazdu syfilidologów, w celu zastosowania ich w praktyce. Skutkiem tego p. oberpolicmajster powołał komisyę, do której wejdą delegaci władz: wojskowych, sądowych, administracyjnych i in.

— W Krakowie powstaje zakład badania środków spożywczych i przedmiotów użytku codziennego, pod kierunkiem dr. O. Bujwida. Jednocześnie powstaje w Austryi pięć takich zakładów, wszystkie zaś będą połączone z hygienicznemi instytucyami uniwersytetów: w Wiedniu, Pradze (przy obu uniwersytetach: czeskim i niemieckim), w Gracu i Krakowie.

Gospodarka miejska. *Gazeta Polska* w numerze środowym pisze: „W żadnem chyba z miast na świecie niema takiego marnotrawstwa grosza publicznego, jak w Warszawie, gdy chodzi o wykonywanie robót publicznych. Oto świeżo tego przykład: w ubiegłą sobotę skończono na ulicy Przeskok układanie nowego bruku po zniwelowaniu tej ulicy i rozszerzeniu, przez przyłączenie sąsiedniego terytoryum szpitalnego, wczoraj zaś zaczęto na nowo wyrywać bruk i czynić wykopy dla ustawienia wylotów przykanalikowych wzdłuż tej ulicy, jak gdyby nie można było tego uczynić kilka dni wcześniej przed ukończeniem nowego bruku. W dodatku na rozszerzonej tej ulicy, przed upływem zimy, muszą być ustawione na odpowiednich miejscach latarnie gazowe, a więc jeszcze raz bruk będzie rujnowany przy zakładaniu rur gazowych. Za wszystko to miasto płaci i w ten sposób tworzą się owe kroćiowe koszty konserwacyi bruków, a bruki są wciąż fatalne. Należy przypomnieć, że na tej samej ulicy przed kilku tygodniami rozebrano kanał, wybudowany rok temu, który kosztował 10,000 rs., lecz okazał się nie na właściwem miejscu i musiano nowy budować."

Sztuka. Z rozporządzenia p. generał-gubernatora usunięto z wystawy Krywulta kilka obrazów z cyklu: „Tragedya kobiety." (*Warsz. Dn.*).

Wystawy i zjazdy. Departament lekarski zwołuje w Petersburgu zjazd psychiatrów w sprawie urządzenia szpitalów dla obłąkanych.

— D. 6 listopada rozpoczyna obrady zjazd górniczy w Charkowie.

— Na urządzenie oddziału rosyjskiego wystawy paryskiej 1900 r., ministeryum skarbu przeznaczyło 2 miliony rs.

— W roku przyszłym, z powodu 400-ej rocznicy odkrycia przez admirała portugalskiego, Vasca de Gama, drogi morskiej do Indyj, odbędzie się w Lizbonie wystawa państwowa, w której dział główny zajmie powszechna wystawa dzienników, wychodzą-

cych we wszystkich państwach na kuli ziemskiej. W tym celu zarząd zwrócił się do konsula portugalskiego w Warszawie z prośbą o dostarczenie gazet i dzienników polskich, wychodzących w granicach Królestwa Polskiego.

— W Turynie urządzona będzie międzynarodowa wystawa elektryczności od kwietnia do października 1898 r.

Przemysł i handel. Z powodu wprowadzenia monopolu wódczanego w Królestwie Polskiem, utworzone będą następujące posady: zarządzającego składem rektyfikacyjnym w Warszawie z płacą 3,600 rs. rocznie, dwu jego starszych pomocników po 1,800 rs., czterech pomocników młodszych po 1,500 rs., sklepowego 1,500, jego starszego pomocnika 900 rs., trzech pomocników młodszych po 600 rs., dwu piwniczych po 1,000 rs., pięciu pomocników piwniczych po 600 rs., jednego stróża starszego 360 rs., siedmiu stróżów młodszych po 300 rs., jednego węglarza 600 rs., jego pomocnika 360 rs., maszynisty 1,200 rs., dwu pomocników maszynisty po 600 rs. W składach 1-ej kategoryi utworzone będą posady następujące: zarządzającego z płacą 1,500 rs., dwu pomocników zarządzającego po 900 rs., maszynisty 750 rs., pomocnika maszynisty 480 rs., sklepowego 800 rs., pomocnika sklepowego 400 rs., piwniczego 600 rs., pomocnika piwniczego 420 rs. W składach 2-ej kategoryi: zarządzającego 1,200 rs., pomocnika zarządzającego 720 rs., maszynisty 600 rs., pomocnika maszynisty 480 rs., sklepowego 720 rs., pomocnika sklepowego 400 rs., piwniczego 500 rs., pomocnika piwniczego 360 rs. W składach 3-ej kategoryi: zarządzającego z płacą 900 rs. rocznie, pomocnika zarządzającego 600 rs., maszynisty 480 rs., sklepowego 600 rs., pomocnika sklepowego 400 rs., piwniczego 420 rs. Poborcy pieniędzy mają otrzymać 1,500 rs. rocznie, oficyaliści po 240 rs.

— Skarb państwa spodziewa się, iż w pierwszym roku po zaprowadzeniu monopolu spirytusowego w Królestwie Polskiem wpłynie z tego źródła 3,047,320 rs. czystego dochodu. Na urządzenie skarbowej sprzedaży spirytusu zamierzono wyznaczyć w r. 1898 rs. 1,554,992.

— Roboty około osuszenia Polesia obejmą w r. p. przestrzeń 60,000 dziesięcin.

Katastrofy. Pociąg pospieszny, idący z Buffalo do Nowego Jorku, wpadł do Hudsonu na nowojorskiej linii centralnej, w pobliżu Carrisons. Przyczyną katastrofy było podobno podmycie grobli. Parowóz i siedem wagonów wpadło w wodę. Zginęło 28 ludzi.

— We wsi Chmielowo, pow. Kozłowskim, gub. Tambowskiej, w cerkwi, skutkiem ścisku i popłochu na okrzyk „gore!", zginęły 54 osoby. Ciężko pokaleczonych 80.

Zmarli Franciszek Turner Palgrave, głośny poeta angielski, w Londynie.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 Октября 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.